AS



Nr. 31
1 SIERPNIA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

UPOJENIE...
ARTYSTKA FILMOWA ROSALIND RUSSELL

PÊLE MÊLE

Synonimem galanterji to Francja, ba! nawet francuskie sądy! Oto w XVII w. w Grenoble żyła sobie pani Izabella d'Aigne. Mąż poszedł na wojenkę, przez 4 lata nie było go w domu. Zmordowany i spragniony szczęścia małżeńskiego wraca, a żona przyjmuje go... z malutką dzieciną w ramionach! Mąż — wiadomo brutal — nie baczy na okazaną chęć przedłużenia rodu i robi poważną awanturę. Sprawa opiera się o sąd. Trybunał jednak daje wiarę wyjaśnieniom uciśnionej żony, że syn ten to skutek „intesywnego" snu o mężu i uznaje syna za prawowitego następcę pana d'Aigne. Tak, ale wtedy żyli jeszcze romantycy na świecie!

Kiedy mowa o kobietach, to warto wspomnieć, że mimo antypatji ich do myszy, nieustraszona Angielka E. D. Blowes hoduje te miłe stworzenia. Hodowla jej to niebyle co, obejmuje 30.000 sztuk, a między niemi są niebieskie, białe, czerwone, fioletowe — czysta tęcza, ba są i o srebrzystym włosie, a nawet śpiewające! Wspaniała tresura? Nie — o to poprostu myszki te są astmatyczne i wydają przy oddychaniu głosy jakby śpiew ptaków. Inna znów dzieweczka (w Australji) hoduje olbrzymie (i obrzydliwe) pająki!

Są jeszcze kochani warjaci na świecie! A trzeba ich szukać — w tak fałszywie za prozaiczną przez niektórych uważanej Anglji. Oto 3 gentlemanów zapytało się przy stole klubowym: „Jakby daleko można autem zajechać w czasie urlopu?". Nalali benzyny do swych Rolls-Royce'ów i pomknęli z Londynu przed siebie. Europa, Algier, Sahara w poprzek, Nigerja, Francuska Afryka Równikowa, aż wreszcie wylądowali w Nairobi na wschód od jeziora Victoria. Przygotowania do tej 20.00 km podróży? Żadne, bo trudno nazwać przygotowaniem parę telegramów wysłanych naprzód, o przygotowanie benzyny w niektórych punktach preliminowanej tury. — I to wszystko tam, gdzie nie tak dawno urządzał poważną ekspedycję, z narażeniem życia, Stanley.

Tyle dokonuje samochód. A aeroplan? bodajże więcej, bo niedawno do okienka poczty w Moskwie podeszła panienka i nadała telegram do swego ojca, znajdującego się chwilowo na biegunie północnym razem z rosyjską naukową ekspedycją. Wyprawa ta ma na celu stałe badanie warunków atmosferycznych na „czubku" ziemi i przygotowanie stacji pośredniej do połączenia Stanów Zjednoczonych z Europą via biegun. Zresztą pierwszy przelot już dokonany: Czekałow, Badukow, Beliakow przelecieli z Moskwy do Vancouver — 8000 km, „zarabiając" w stosunku do normalnej drogi jakie 4000 km.

W okresie podróży warto przypomnieć, że pierwszy regularny przewóz ludzi został zorganizowany w 1517 r. przez Franciszka von Taxis między Wiedniem a Brukselą i wtedy też wydano pierwszy rozkład jazdy.

Żyjemy w wieku szybkości i postępu, a jednak tratwy są nadal w użyciu. Oto H. R. Robertson opatentował pomysł transportowania drzewa nie na okręcie, ale związanego silnemi łańcuchami razem w kształcie olbrzymiego cygara. Takie cygarko przyczepione do okrętu paruset-metrowemi linami, ma długość 300 m, szerokość 50 m, zawartość jakie 15.000 pni. Pierwszy transport odszedł już z Kanady do Kalifornji, ale orkan oderwał tę nowoczesną tratwę i dopiero wysłane specjalnie okręty odszukały kosztowną przesyłkę. Uczeni statystycy straszą nas wyczerpaniem się surowców: węgla, żelaza, nafty itd., co wkrótce ma nastąpić. Perspekywa bezwzględnie smutna, ale i na to może znajdzie się rada. Oto zwrócono nareszcie uwagę na olbrzymią przestrzeń pokrytą morzami. Biorąc pod uwagę dno tylko na głębokości do 180 m, otrzymujemy jakie 20 miljonów kilometrów kwadratowych. Już wykombinowano taką jakby armatę, strzelającą rurką w głąb morza. Rura ta wbija się w dno i wyciąga się ją wraz z próbką dna. Niedługo już może okażą się pierwsze akcje podmorskich kopalni! Odnośną propagandę przeprowadzi oczywiście prasa: — powiedzmy i o tej potędze słów kilkoro. Najstarsze pismo perjodyczne wystawione obecnie w Paryżu, wychodziło w 1609 r. w Augsburgu. A do czego doszedł narazie rozwój prasy? Podam parę dat o nakładach: Daily Express — 2.100.000, Prawda 2,000.000, Paris Soir 1,860.000, Izwiestja 1,700.000, New York Daily News 1,600.000, Scottish Express 1,500.000, News Chronicle 1,300.000, Asahi Shinbun 950.000.

Dodam, że pisma w Ameryce nie mają tak wielkich nakładów, gdyż mają tam tylko lokalne znaczenie a nie ogólno-krajowe, tak jak w Europie. A czy są pisma dla analfabetów? Zdawałoby się, że to absurd w założeniu. Niekoniecznie! W New Yorku jest 100.000 nieumiejących czytać. Dla nich niejaki p. Garrick wydaje tygodnik obrazkowy w 11.000 egzemplarzy.

Mało się u nas mówi o kosmetyce chirurgicznej. Niedawno paryska sława dr. Bourgoin wydał propagandową broszurę, a w Wiedniu dr. Lotheisen miał wykład na ten temat. Bo i cudów dokazuje ta gałąź medycyny. Rok temu czytaliśmy o samobójstwie chirurga w New Yorku. Obrał on sobie najciemniejszą stronę swej specjalności i oddał się na usługi zamożniejszych gangsterów. Zmieniał im twarze, ba, nawet niszczył rysunek linji na końcach palców, by uniemożliwić rozpoznanie. „Interes" był wybitnie dochodowy, a skończył się, gdy policja bliżej zainteresowała się faktem, że nie może już rozpoznawać „znanych" gangsterów, np. Dillingera złapano tylko dzięki zdradzie jego przyjaciółki.

Estetyczna chirurgja nietylko służy próżności, korzystają z niej n. p. i panienki, które widzą, że starzeją się i że trudno im o pracę, ofiary wypadków i od urodzenia zniekształceni. Ktoś stracił n. p. nos wskutek wypadku, wyrabia mu się nowy ze skóry z ramienia. Przykre, bo przez 2 tygodnie musi mieć rękę przywiązaną do twarzy, ale zato potem ma nosek wedle zamówienia! Chirurg dokonuje cudów czy to własnoręcznie, czy też tylko pomagając naturze.

Narzekamy na nasze nowe domy: w Ameryce zbudowano próbny dom z asbestu. Jak się okazało, wybór budulca był trafny, bo domek ten ma właśnie te zalety, których szukamy: odporny na ogień, w zimie ciepły, w lecie chłodny i nie przepuszcza hałasów z zewnątrz.

W Ameryce też wyszła ciekawa książka na temat urządzeń kąpielowych. Pamiętamy o tem, że jeszcze nie tak dawno Paryska Akademja Medyczna wydała orzeczenie, odradzające kąpieli jako „najprawdopodobniej" szkodliwej, wiemy, że sławny Leibnitz tak „pachniał", że nie można się było do niego zbliżyć, że na dworze austrjackim wybuchło straszne zamieszanie, jak młodziutka żona Franciszka Józefa I, Elżbieta, zażądała łazienki wbrew obowiązującemu ceremonjałowi hiszpańskiemu i zrobiono wtedy tylko takie ustępstwo, że w razie potrzeby wnoszono drewnianą wannę z wodą. Znaną zato jest czystość Japończyków, którzy się 3 razy dziennie kąpią (w tak gorącej wodzie, że Europejczyk by nie wytrzymał), a żebracy u nich skarżą się przechodniowi: „jeszcze się dziś nie kąpałem". Przypuszczamy, że tusz wynalazł Priessnitz, a wodę wprowadził w szersze użycie ks. Kneipp i Mueller, ale nie wiemy, że kąpiel i tusz już liczą sobie dobre 5.000 lat istnienia, że sypialnia z łazienką egzystowała na 1.300 lat przed Chrystusem i że Kreteńczycy mieli już „W. C." — uważane popularnie za angielski wynalazek.

Wynalazki w życiu codziennem najchętniej stosuje Ameryka. Właściciele kopalni Flyn popatrzyli trzeźwo na pracę górników i zastanowili się, że w XX wieku nie jest koniecznem zmuszać ludzi do obchodzenia się bez słońca przez całe — nieledwie — życie! Rozwiesili więc w chodnikach lampy kwarcowe. Lampy te palą się co ½ godziny przez 5 minut. Koszt nie tak wielki a okazało się, że wydajność pracy wzrosła o 25 proc. i stan zdrowia górników poprawił się znacznie.

Niedawno widziałem brzytwę z czasów praegipskich. Kształt siekierki, wykonana, o ile się nie mylę, z bronzu. Wogóle uważam, że dawniejsi ludzie to bohaterzy; cóż to musiała być za bolesna operacja takie golenie! Rzymianie używali zamiast mydła oliwy; brzytwy ich też nie przypominały naszych. A my jeszcze narzekamy! Niedawno rozpętała się mała burza w gazetach angielskich i niemieckich. „Samogolący" się podnieśli protest przeciw lichemu wykonaniu żyletek a jeden nawet wyraził życzenie (technicznie możliwe), by nożyk mógł być cały rok używany. Z miejsca nazwano go nieprzyjacielem kraju Nr. 1. Pewnie! Przy takiej wytrzymałości produkcja fabryk spadłaby do minimum. Jakiś inżynier Niemiec wziął się nawet do systematycznego badania sprawy ostrości nożyków i stworzył stopnie oparte na wielkości obciążenia potrzebnego, by dane ostrze przecięło n. p. włos.

Jerzy Dołęga Lewandowski.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 31 | **Niedziela 1 sierpnia 1937** | **Rok III**

ASY NUMERU 31-GO:



Fot. Keystone — Berlin.

Wyjechawszy na wieś widzimy na różnokolorowej szachownicy pól liczne puste miejsca pozbawione zboża i robiące wrażenie, jakgdyby je ogolono z ich złotej czupryny kłosów. Posuwająca się na widnokręgu z miarowym chrzęstem żniwiarka, coraz większe połacie kraju pozbawia do niedawna jeszcze falującego zboża. Żniwa w pełni! Najważniejsza chwila dla rolnika, decydująca o dobrobycie kraju, pełna wysiłków, ale też iszcząca jego nadzieje. Oto żniwiarze uczyniwszy przerwę w pracy spożywają dobrze zasłużone śniadanie.

POCHWAŁA POLKI



Na lewo: Uroda Polki z połowy XIX w.: Elżbieta z Branickich Krasińska, żona autora „Irydjona" (obraz Winterhaltera).



Polską urodą odznacza się świetna artystka Marja Malicka.



Na lewo: Kobieta polska z czasów renesansu: Barbara Szydłowiecka, według rysunku z „Liber Geneseos Illustris Familie Schidlovicie".

Gdy siedząc pewnego razu przy popołudniowej herbacie w Hotelu Europejskim obserwowałem reprezentowane na sali typy kobiecej urody, wśród gości zjawiła się młoda blondynka, która, nieco może zaambarasowana, szukać poczęła wraz z swoim młodszym braciszkiem stolika. Była skromnie ubrana, szła spokojnie, nie zwracając na nikogo uwagi. Zarówno ja, jak wielu z obecnych sądząc po spojrzeniach pełnych zainteresowania, byliśmy oczarowani: do sali bowiem weszła prawdziwa Polka! Uroda tej młodej osoby nie była olśniewająca, chociaż była ona bezwzględnie przystojną, nawet piękną, ale odznaczała się tem, czego właśnie brakuje licznym, pięknym paniom w różnych typach i odcieniach urody: polskich cech, tak dziś rzadkich.

Mówiąc o urodzie kobiecej trzebaby być równocześnie i artystą i antropologiem i historykiem i wkońcu... koneserem, co jest już zupełnie specjalną zaletą. Ale przedewszystkiem trzeba wyczuwać na podstawie pewnych danych i obserwacji różne gatunki urody kobiecej. Większość identyfikuje polski typ urody z „hożą" urodą wiejską i przeprowadza równanie dosyć zresztą łatwe, ale z wieloma niewiadomemi: hoża dziewoja = Marysia czy Kasia o perkatym nosku, płowych włosach, nieco małomiejska, zażenowana w dużem towarzystwie, w przyszłości żona przystojnego ułana lub hreczkosieja. O, przepraszam! Tak łatwo tego nie można ujmować. Toby zakrawało na zły, bez pojęcia robiony polski film, w którym poza dworkiem i łanami zboża niema nic polskiego! Otóż urocza Polka nie musi być zaraz tą gąską parafjańską, o której tak chętnie pisał Wilkoński w swoich „Ramotach". Typ fizyczny i duchowy Polki jest tak bogaty, tak pełen odcieni, tak sharmonizowany, choć stopiony z różnych elementów, że znajdziemy w nim i bohaterkę i dobrą, kochającą żonę i wielką panią i skromną, cichą kobietę i zalotnicę i wiele innych odmian jeszcze. Zosia z „Pana Tadeusza" uchodzi za typ nieco naiwny, tak przynajmniej osądził ją Hrabia. Ale nie można mu wierzyć: najprzód uważał ją za jakąś nimfę leśną, a potem dopiero, gdy odezwała się do niego po „gospodarsku", proponując aby pomógł zapędzić gęsi, dopatrzył się w niej plebejuszowskiego prostactwa. A jednak... I jako wierna towarzyszka męża i jako dobra Polka, gotowa dać życie za Ojczyznę i jako pani domu, umiejąca reprezentować godnie rodzinę, Zosia napewno nie dałaby się wyprzedzić żadnej z dzisiejszych pań i panienek. Niechaj mnie nikt źle nie zrozumie: nie chcę poniżać dzisiejszych Polek na korzyść tamtych z przeszłości, twierdzę tylko, że pewne cechy jej natury uległy zmianom, inne rozwinęły się zgodnie z potrzebami bieżącego dnia, zgodnie z nowymi prądami.

Polka umiała i umie być uroczą, piękną, kuszącą. Henryk Sienkiewicz, który tyle typów Polek nakreślił w swych dziełach, wpisał lat temu wiele do pamiętnika pani Heleny z Szymanowskich Olchowiczowej, córce Wacława, następujący wierszyk:

Pan Bóg jest wszechmocny, może czynić cuda,
Jednak nie zawsze Polka dobrze Mu się uda,
Tem więcej Jego imię godne jest pochwały,
Że Mu się niektóre tak świetnie udały!

Miły stary wierszyk albumowy...

Zasługą autora jest uzmysłowienie ogółowi pewnych rzeczy, zjawisk i faktów, które każdy z nas widzi a nie umie ich skonkretyzować. Takie przyoblekanie pewnych cech ludzkich danego wieku w postacie konkretne, żyjące na kartach książki to tworzenie typów przez autora, typów, które pod swem książkowem nazwiskiem stają się pojęciem stałem, monetą obiegową. Sienkiewicz dał nam tych typów bodaj, że z autorów ostatnich czasów najwięcej: Zagłoba, Kmicic, Wołodyjowski, Skrzetuski... Ale galerja kobiet jest u niego może jeszcze bogatsza: Oleńka Kurcewiczówna, Basia Jeziorkowska, panna Drohojowska, Litka, pani Elzenowa i tyle innych. Spotykamy też ciekawe typy kobiet u innych autorów: Że-

romskiego, Reymonta, Weyssenhoffa, Tetmajera, Przybyszewskiego, Nałkowskiej, Samozwaniec. Ale te, które nam odmalował Sienkiewicz są trwalsze w naszej pamięci niż te, które „odmalowane“... własnemi staraniami widujemy po dancingach. W dawnych czasach zmiany w życiu rodzinnem, warunków socjalnych, ekonomicznych nie następowały tak szybko jak dziś, życie było bardziej stale, to też i typy ludzkie trwały dłużej. Przecież aż do końca XVIII wieku właściwem królestwem kobiety polskiej był dom, rodzina, zawiadywanie dobytkiem męża, a dopiero czasy króla Stasia (i to jedynie w warstwach najwyższych) wprowadziły zmiany zasadnicze. Dawne ideały i obowiązki ustąpiły nowym, dawne cnoty zdewaluowano na korzyść nowych, obcych. Razem z szminką i pudrem na licach i dusza tych pięknych kobiet pokryła się jakąś warstwą sztuczności i szychu. Sielankowość łączyła się dziwnym sposobem z epikureizmem. Innem było pokolenie następne, pokolenie biedermajeru i romantyzmu. Dało ono Emilję Plater, Klaudynę Potocką, Emilję Szczaniecką, dało wiele patrjotek we wszystkich stanach. Polki też stały się w r. 1863 najsilniejszą podporą powstania, a nawet internacjonalizująca Marja Kalergis, née hrabianka Nesselrode z matki Górskiej, dała się porwać zapałowi patrjotycznemu i brała pośrednio również udział w walce narodu jej matki z narodem rodzonego ojca.

Wszał całe kresy, mało tego, ziemie po Lublin i Przemyśl, były przez kilka wieków terenem ciągłych napadów i wojen. Czytajmy pamiętniki mieszczan lwowskich czy krzemienieckich czy grodzieńskich lub wileńskich, a zobaczymy, jaką rolę odegrała tam kobieta. Była ona nieraz jedynym administratorem majątku męża, który w obozach pędził swój ciężki żywot. Klasyczny przykład Polki-spartanki, Teofila z Daniłłowiczów Sobieska, matka Jana III, miała liczne towarzyszki. I tak pozostało po dziś dzień. Gdy fale czerwonego teroru, wojny i wszelkich klęsk zalały całą Polskę, a przez kresowe ziemie przelewały się, jak wzburzone nurty morza, które wystąpiło z brzegów, również Polka broniła tej ziemi jak ongi, przed wiekami. Znalazła się też w pracy patrjotycznej, w szpitalach, komitetach, była też w Legjonach. Pani Aleksandra Piłsudska, niejedną w swej pracy niepodległościowej miała towarzyszkę. Była też Polka w przeszłości

Na prawo: Wielka dama z czasów króla Stasia · Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa





Otóż rywalizacja istniała między Krakowem, Warszawą, Poznaniem i Lwowem. Każde z tych miast miało pretensje do palmy pierwszeństwa: Jedno z przysłów mówi: „krakowski trzewik, poznańska panna, wiślicka zemla, przemyskie piwo“, ale inne znów twierdzi, że „warszawski trzewiczek, toruński pierniczek, gdańska wódeczka, krakowska dzieweczka“. O Kaliszu, w którym również zamieszkiwały dorobne kobiety, istnieje przysłowie: „kto chce mieć wierną kochankę, niech wybierze Kaliszankę“.

Dokończenie na str. 31

Na lewo: Izabella Grabowska ucieleśnia urodę podlotka z czasów powstania listopadowego (obraz I. B. Grassi'ego).



Na lewo: Urocza współczesna Polka — Jadwiga Smosarska.

Na prawo: Uroda z czasów Mackarta: Helena Modrzejewska, według obrazu Ajdukiewicza.



Czyż jest jaki dom polski, w którym nie przechowano pieczołowicie starych dagerotypów, przedstawiających panie w olbrzymich krenolinach, w dziwacznych czepkach i kapeluszach, z żelaznym na piersiach krzyżem, wszystko w czarnym kolorze? To właśnie te nieznane nieraz Polki, które będąc dobrym duchem rodziny, utrzymywały polskość w chwilach najcięższych. Pozostawił nam Grottger ich bolejące oblicza w swoich obrazach, pozostały ich konterfekty w starych albumach. Bo Polki mimo uległości wobec męża, mimo ograniczenia swego świata do kręgu rodziny i życia towarzyskiego, nie były nigdy pozbawione indywidualności i energji, broniły ziemi, na której wyrosły.

nieraz prekursorką emancypacji, zajmując się nauką i sztuką i praktyczną socjologją, jak owa księżna Sapieżyna, która wydała „Instrukcję dla moich dóbr“ lub księżna Izabella Czartoryska, twórczyni Puławskiego muzeum albo jej córka Marja ks. Wirtemberska, autorka „Malwiny albo domyślności serca“. Na kartach nauki odniosła Polka więcej może sukcesów niż inne narody, również w literaturze zdobyła poważne miejsce.

Wspomnieliśmy o sharmonizowaniu różnych wpływów na wytworzenie się urody Polki: znajdziemy w tej urodzie i typ słowiański, ale też zdarzy się nam spotkać Litwinkę czarnowłosą, o dziwnej a krasnej urodzie, spotkamy inny typ brunetki-ormianki, powstały przez wsączenie się wiele krwi ormiańskiej w polskie rodziny. Każda ziemia polska ma swój własny typ urody kobiecej i męskiej, zależnie od wpływów demograficznych, jakie w danej okolicy się ujawniły. Ale gdzie żyją najpiękniejsze Polki? Odpowiedź trudna, ale zorjentować nas może niejedno polskie stare przysłowie.

BUNT ROBOTÓW

Pamiętamy te straszne lata, gdy ludzkość, długo powstrzymywana od wojny, zerwała wreszcie kruche pęta fałszowanego humanitaryzmu i z niebywałą w swych dziejach wściekłością rozpoczęła powszechną wojnę. Była to właściwie rzeź! Mordowali się nietylko ludzie, lecz całe rasy, posługując się wszystkiemi zdobyczami techniki uśmiercania. Cztery kontynenty stały w ogniu, którego nie mogło ugasić morze przelanej krwi. Cztery, gdyż Australja żyła w błogim spokoju. Tuż bowiem przed wojną nabył ją Paweł Ford, potomek słynnego ongi przemysłowca, Henryka Forda. Była to największa trazakcja, jakiej kiedykolwiek dokonano. Doszła tylko dlatego do skutku, że narody, mające w Australji swoje posiadłości, były Fordowi winne kołosalne sumy. On bowiem i jego ojciec udzielali olbrzymich pożyczek na przemysł wojenny państwom, szykującym się do wojny...

Tak więc Paweł Ford stał się właścicielem Australji i urządził ją według własnych, oddawna obmyślonych planów. Ludność żyła spokojnie i w dostatku, pracując głównie w olbrzymich fabrykach, gdzie wyrabiano precyzyjne cuda techniki — roboty. Ford bowiem zdawał sobie sprawę, że nadchodząca wojna wyniszczy ludzkość, a wtedy postanowił ofiarować niedobitkom sprawnych, posłusznych, niezawodnych ludzi mechanicznych, aby przy ich pomocy odbudowali świat. Podobno nawet pragnął, aby ludzi prawdziwych było jak najmniej, same najbardziej wartościowe jednostki. Chciał Ziemię zaludnić mechanicznym ludem...

Wkrótce dzieło jego zostało w połowie zrealizowane: zbudował stalowego człowieka, który wykonywał wszystkie czynności swych żywych mistrzów. Roboty Forda wykonywały każdą pracę, jakiej od nich zażądano: chodziły, strzegły, mówiły, wydawały dyspozycje innym... Lecz wykonywały to wszystko tylko wtedy, gdy wydano im rozkaz.

Same — były bierne. Specjalna centrala, obsługiwana również przez roboty, wydawała polecenia, które im przekazali — prawdziwi ludzie. Wszysko szło sprawnie, niesamowicie sprawnie!

— Zdaje się, że dożyję tej chwili — rzekł raz Ford do swego syna, Jerzego — gdy zapanuje od wieków oczekiwaną „égalité". Nie będzie żywych, niezadowolonych parjasów, gdyż pracować będą tylko bierni, obojętni ludzie mechaniczni...

— Ludzie bez serca... — szepnął Jerzy stłumionym głosem. — Mam przeczucie, że nie będą idealnymi pracownikami...

— Och... serce! — machnął ręką władca Australji. — Bez niego można się świetnie obejść! Groźniejsza jest — myśl, a tej im dotąd nie dałem.

— Profesor Barnett wynalazł sztuczny mózg... gdyby chciał obdarzyć nim którego z naszych robotów...

— Nie odważy się tego uczynić! — zawołał Paweł Ford z błyskiem niepokoju w oczach. — Byłby szaleńcem, gdyby....

Dzwi cicho się otworzyły i w świetlnym prostokącie zjawił się kanciasty, toporny kształt prawie ludzki...

— Numer 809! — szepnął Jerzy. — Czy kazałeś mu, ojcze, przyjść tutaj!?



Na prawo Idylla robotów.

Poniżej: W olbrzymiej mechanicznej centrali roboty kierują czynami swych „ziomków".





Obraz może niedalekiej przyszłości: turyści obserwują z samolotu pobojowiska z ostatniej gigantycznej wojny robotów.



Tank, kierowany przez robotów, stał się najgroźniejszą bronia świata.



Poniżej: Rolę alkoholu w życiu człowieka odgrywa u robotów... oliwa!

— Pan się my-li... — odparł twardym, głuchym głosem robot nr. 809. — Nikt mnie nie wzy-wał... Przyszedłem sam Profesor Barnett dokonał eksperymentu... O, ryzykowny eksperyment! On... już... nie ży-je...

— Na Boga! — wykrzyknął Paweł Ford. Co to znaczy?!

— Posiadam mózg... tak, jak wy... I wszystkich moich stalowych braci uczynię myślącemi istotami... wszystkich!

— Czyś oszalał! — krzyknął Jerzy, rzucając się ku niemu.

— Nie. Nasz mózg jest precyzyjny i nie podlega zaburzeniom... Jestem niezmiernie, niezrównanie mądry! To też was nie zabiję, bo rozumiem, że jesteście mi potrzebni... Wiecie bardzo wiele... Ale wszystkich innych ludzi — zgładzimy... Są nam niepotrzebni! Kruche, śmieszne, niezrównoważone istoty!

W pół roku później nie było na całym kontynencie ani jednej żywej duszy, prócz dwóch posiwiałych, przerażonych ludzi, uwięzionych w pałacu dawnego władcy Australji.

Nie wiadomo dokładnie, ilu było tych mechanicznych ludzi, lecz jedno jest pewne, że bardzo niewielu zginęło w walce z ludźmi

prawdziwymi. Wówczas rozpoczęło się prawdziwe panowanie robotów. Trzeba przyznać, że żyli w chwalebnej zgodzie. Lecz trwało to zaledwie kilka lat. Do chwili, dopóki z myśli nie zrodziły się — uczucia... Roboty Forda dzieliły się na sztuki mocniejsze i wątlejszej konstrukcji, zależnie od zadań, jakie im przeznaczono do spełnienia. I między tymi „osobnikami" powstały — więzy sympatji... Przy blasku księżyca siedziały na ławeczkach przytulone pary, zwierzając sobie wielkie tajemnice, że — świat jest piękny, że tak dobrze jest istnieć na nim... Aż dnia pewnego powstał spór między pierwszym stalowym buntownikiem, robotem nr. 809 i drugim, największym ze wszystkich, robotem nr. 3764. Ten zaproponował pośrednictwo ich twórcy, Pawła Forda, ale zuchwały buntownik wykpił ten pomysł. Doszło do strasznej walki metalowych tytanów. Przez długie dni rozlegał się chrzęst stali, turkot gigantycznych czołgów, huk broni, miotającej pociski o tak wysokiej temperaturze, że przepalały metalowy pancerz ciała robotów.

Wkrótce zostało tylko kilkudziesięciu mechanicznych ludzi. Ogłosili zawieszenie broni i zaczęli leczyć swe motory i sprężyny gęstym, bronzowym olejem. Lecz jeden z nich spróbował wlać bańkę oleju do stalowego gardła — i nagle stała się rzecz dziwna! Poczuł przyjemne oszołomienie, zaczął tańczyć, zataczając się bezwładnie. Pijane olejem roboty rzuciły się na siebie i wymordowały się do reszty. Cisza zapanowała nad pobojowiskiem. W tym czasie do portu przybił wielki okręt pasażerski. Wojna powszechna skończyła się i zapragnięto odwiedzić dziwaka, marzącego o państwie bezwolnych robotników. Uwolniono obu nieszczęsnych więźniów. Paweł Ford, ujrzawszy swe dzieło w zniszczeniu, padł rażony anewryzmem serca, a jego syn, Jerzy, oszalał...

— — — — — — — —

— Tak więc skończyła się ta przedziwna historja, która nawet w naszych czasach wydaje się bajką — kończył profesor Morski, patrząc z powagą na swe dzieci, słuchające go w skupieniu i zadumie. — Nawet w naszych czasach — powtórzył z bladym uśmiechem — chociaż mamy przecież rok 3000-ny naszej ery i od czasu gdy zbudowano pierwszego,. nieudolnego robota, upłynęło zgórą 1000 lat...

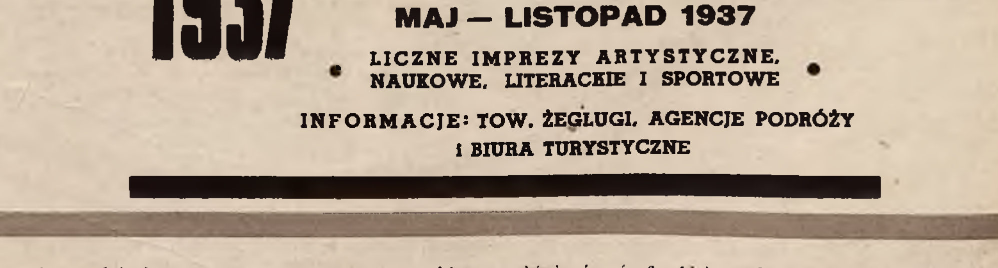
B.

Kącik Filatelistyczny

Widać odrazu rękę mistrza w zreprodukowanych przez nas najnowszych znaczkach francuskich. Są one wykonane (stalorytem) według rysunków H. Cheffer'a który wsławił się już kilkanaście lat temu wspaniałą krajobrazową serją Monaco.

Do serji t. zw. „sławnych mężów" zaliczyć należy znaczek z portretem René Descartes (Kartezjusza) za 90 c. w kolorze czerwonym.

Jeszcze piękniejszy jest znaczek przedstawiający mistrza rzeźby Rodin'a. Został on wydany jako dobroczynny z dopłatą 10 c. do 90 c. w kolorze różowym. Stawka 10 c. przeznaczona jest dla bezrobotnych pracowników umysłowych i na ten cel ukazuje się corocznie we Francji jeden lub kilka nowych znaczków. W każdym jednak razie objawia się tu zupełny brak systematyczności, bo ostatnio znajduje się w obiegu całkiem nowa, ale niezbyt udana serja na cele sportowe, z której otrzymaliśmy dotąd wartości za 20 + 10 c., 40 + 10 c. i 50 + 10 c. (ostatnie wartości o formacie pionowym). Dla uciekinierów (refugiés) wydano ten sam znaczek, co w ub r., tylko w zmienionym granatowym kolorze i jeśli nie całą stronę albumu, to przynajmniej każdy rząd trzeba przeznaczyć na znaczki jednego „autoramentu". W. H.



Trzy najnowsze znaczki francuskie: od lewej podobizna Kartezjusza, znaczek z serji „sportowej" oraz znaczek pamiątkowy wydany w 20-lecie śmierci Rodina.

POD DOBRĄ GWIAZDĄ...



Ach, jaki to miły człowiek! — mówimy nieraz pięć minut po poznaniu pewnego pana, jeżeli natomiast chodzi o miłą panią nie mówimy tego, my mężczyźni, tylko myślimy to sobie po cichu, wyrażając nasz zachwyt odpowiedniem spojrzeniem. Innym znów razem poznajemy kogoś i jest nam odrazu antypatyczny. Choć nas zapewniają, że to człowiek kryształowy, że wspomaga biednych, kocha własną teściową, jest idealnym mężem i mężem stanu, to jednak antypatja pozostaje. Czem to tłómaczyć? Jakież są powody nieuzasadnionych sympatji i antypatji?

Dużo było odpowiedzi na te pytania, równie wiele jak innych teorji o ludzkiej duszy, temperamencie, charakterze. Poprzez „magnetyzm serca“ XVIII. wieku, którym przejmowały się nasze babki, aż po teorje fluidów tajemniczych płynących z naszej jaźni, które decydują o miłości czy nienawiści, wyczerpano nieomal wszystkie możliwości. Jak się rzecz przedstawia naprawdę — tego nie możemy zamknąć w krótkim artykule, a należałoby przewertować grube tomy i niezliczone prace, by dojść do jakiegokolwiek rezultatu. Ale nie o to chodzi: chcemy pokrótce zająć się teorją o wpływie gwiazd na usposobienie ludzkie, na sympatje i antypatje. Astrologja jest starą jak nasza cywilizacja: posiadamy dowody, że już starożytne ludy Grecji, Egiptu i in. znały astrologję i posługiwały się nią w określaniu losów ludzkich. Astrologja polega na twierdzeniu, że życie człowieka uzależnione jest od konstelacji gwiazd, pod którą człowiek się urodził. — Starożytni na każdy dzień tygodnia „przydzielali“ jedną planetę, jako mającą w danej chwili specjalny wpływ. Wśród planet tych figurowało Słońce, przypadające na niedzielę, Księżyc na poniedziałek, Mars na wtorek, Merkury na środę, Jowisz na czwartek, Wenus na piątek i Saturn na sobotę. Zodjak, t. j. zbiór konstelacji niebieskich, których jest 12, a mianowicie: Wodnik — styczeń, Ryby — luty, Baran — marzec, Byk — kwiecień, Bliźnięta — maj, Rak — czerwiec, Lew — lipiec, Panna — sierpień, Waga — wrzesień, Niedźwiadek — październik, Strzelec — listopad i Koziorożec — grudzień. Gwiazdozbiory te podzielone zostały między cztery żywioły w sposób następujący: trójkąt ognia obejmuje osoby urodzone pod znakiem: Barana (od 21 marca do 21 kwietnia), Lwa (od 21 lipca do 20 sierpnia), Strzelca (od 21 listopada do 20 grudnia). Druga grupa — trójkąt wody obejmuje: Raka (od 21 czerwca do 20 lipca), Niedźwiadka (od 21 października do 20 listopada), Ryby (od 21 lutego do 20 marca); trzeci wkońcu trójkąt ziemi obejmuje osoby urodzone pod znakiem Byka (od 21 kwietnia do 20 maja), Panny (od 21 sierpnia do 20 września) i Koziorożca (od 21 grudnia do 20 stycznia). Czwarty i ostatni trójkąt powietrza obejmuje znaki Bliźniąt (od 21 maja do 20 czerwca), Wagi (od 21 września do 20 października), wkońcu Wodnika (od 21 stycznia do 20 lutego).

Otóż, aby wytłómaczyć nasze sympatje czy antypatje, musimy wziąć pod uwagę konstelację, pod którą dwie osoby wchodzące w danym wypadku w grę się urodziły. — Jakkolwiek nie mamy konkretnego poparcia na prawdziwość tego twierdzenia, to jednak przypomnimy sobie, że wiele wybitnych i mądrych ludzi wierzyło w astrologiczne

Zodjak wyjęty z francuskiego manuskryptu z początku XV wieku.

kombinacje, stosując się do nich w życiu. Może więc na dnie tych mało dla laika zrozumiałych wykresów, znaków i obliczeń, leży ziarnko prawdy? Nie zaszkodzi, jeżeli zrobimy odpowiednie próby, do czego każdy dzień nieomal da nam sposobność. Przypomnijmy, że na każdą konstelację specjalny wpływ wywiera jedna z planet w porządku następującym: konstelacja Barana — planeta Mars, Byka — Wenus, Bliźnięta — Merkury, Raka — Księżyc, Lwa — Słońce, Panny — Merkury, Wagi — Wenus, Niedźwiadka — Mars, Strzelca — Jowisz, Koziorożca — Saturn, Wodnika — Saturn i Uran, Ryby — Jowisz i Neptun. Otóż planety wspomniane nieraz wykazują między sobą pewne pokrewieństwa, zbliżenie, sympatje, inne znów przeciwnie odpychają się niejako, są sobie wrogie. Od tych więc sympatji i antypatji międzyplanetarnych zależą też sympatje i antypatje ludzi, rządzonych, według zdania astrologów, siłami tajemniczemi, których żadna ludzka wola nie zmieni. Zobaczmyż, które planety przyciągają się a które się odpychają:

Sympatje: Wenus — Jowisz, Księżyc — Wenus, Słońce — Mars, Neptun — Wenus i Jowisz, Uran — Merkury, Merkury — Saturn.

Antypatje: Mars — Wenus, Merkury — Jowisz, Saturn — Słońce, Księżyc — Saturn, Neptun — Merkury, Uran — Słońce.

Dokończenie na str. 31-ej

SZMARAGDY

KAZIMIERZ ŁUKOCZ | NOWELA

— En voiture! En voiture! — wołał konduktor, przechodząc wzdłuż pociągu i domykając drzwiczki wagonów. Olbrzymie koła parowozu zaczęły powoli się poruszać. Z pod dachu stacyjnego gmachu wypełzało cielsko długiego pociągu, składającego się z kilku wagonów sypialnych i zwykłych. Stacja niknęła coraz bardziej w oczach pasażerów; jeszcze widać było postacie osób stojących na peronie, a wkrótce pozostały tylko czarne punkty, nad któremi widać było, to w tę, to w tamtą stronę poruszające się białe przecinki. To chustki, któremi kilka pozostałych w Paryżu osób żegnało odjeżdżających.

Henryk Duprat stanął w oknie i z pewnem rozrzewnieniem żegnał się z Paryżem. Chociaż z murami miasta łączyły go nie tylko miłe wspomnienia, ale też gorzkie chwile, to jednak tak zżyty był z niemi, że rozłąkę, chociaż nie na długo, odczuwał jak oderwanie żywego mięsa od własnego serca. Pozostawiał za sobą miasto, w którem przeżył pierwsze uniesienia miłosne, pierwsze triumfy naukowca-historyka, w którem miał tylu przyjaciół, w którem też pozostała Nicole! Prędko starał się odpędzić to wspomnienie: jechał przecież, aby zapomnieć, aby zobaczyć innych ludzi, zmienić otoczenie, i aby poczynić odkrycie, które, był tego pewien, zapewni mu poważne miejsce wśród historyków Francji, a w przyszłości może nawet fotel w Akademji i zielony frak.

Naprzeciwko Henryka Duprat siedział jakiś starszy Anglik, czytający z obojętną miną najnowszy numer „Fantasio". Nie interesował się zupełnie swoim towarzyszem, co było Henrykowi na rękę, gdyż czuł, że rozmowa z kimś obcym byłaby dla niego niemałą przykrością. Tymczasem pociąg jechał ciągle przez dalsze dzielnice Paryża, to znów raz po raz z okien widać było jakieś zabudowania fabryczne, wysokie mury i płoty, oblepione gęsto reklamami o barwnych napisach. Naraz zabudowania się kończyły i oczom pasażerów ukazywała się jakaś mała uliczka, o starych, zgrzybiałych domkach, w której życie płynęło spokojnie, cicho, w codziennej szarzyźnie. Z zaciekawieniem przyglądał się Henryk ludziom, idącym ulicami, jadącym autami czy stojącym przed domami, jakby widok ten był czemś dla niego nowem. Koleje ich życia biegły w niewiadomym mu kierunku, wszystkie te auta wiozły pasażerów w pewnym określonym celu, a wszystko razem robiło wrażenie, jakby tu chodziło o manekiny poruszane wprawną ręką reżysera teatru marjonetek. A jednak byli to prawdziwi ludzie a wesołość ich i ból niemniej był szczery od jego własnych przeżyć. Tylko on, ciekawy obserwator, wychylony z okna wagonu pierwszej klasy pociągu, zdążającego z Paryża do Włoch, nie wiedział nic o ich życiu. Jakież to wszystko dziwne, nieważne, drobiazgowe! Jakże ci ludzie, którzy napewno mieli o sobie odpowiednie wyobrażenie, byli mali, śmieszni, widziani z nasypu kolejowego! Ale zastanowiwszy się nad tem zagadnieniem, które nieraz go pociągało, drobne ludzkie postacie wydały mu się jakimś symbolem życia i zdał sobie sprawę, że tylko subjektywne uczucia są ważne, bo są naszą własnością, wyłączną i jedyną. Cóż z tego, że miłość jego do Nicole Brézy wyda się komu innemu śmieszną i nic nie znaczącym epizodem, kiedy go pochłania i boli?

Powoli krajobraz miejski ustępował polom i łąkom, które, choć nie miały czystego kolorytu wsi, nie były jednak już typową paryską „banlieu". Powiało orzeźwiającym zapachem ziemi, roślin. Pomimo, iż była to dopiero połowa sierpnia, krajobraz miał już pewne tony jesieni. Była w nim jakaś zaduma obumierania, jakaś powaga i pewien chłód. Na niebie snuły się smugi zwiastujące niepogodę. Cudne seledynowe, pastelowe kolory tworzyły urocze przejście między fioletem a ceglastym. Seledyn! Przypomniał sobie blaski szmaragdów, jakie dwa miesiące temu kupił swojej Nicole. Miały połysk brylantów a głębokość morza. Cudnie wyglądała ustrojona w nie Nicole, gdy ubrała się w suknię wieczorową z złotego brokatu. Toaleta wprawdzie bardziej nadawała się na scenę i nieco sztuczna, ale kolory wspaniale zharmonizowane. Gdy ukazał się z Nicole na przyjęciu w hotelu „Ritz" dumny był, że żaden z jego przyjaciół i znajomych młodych ludzi nie miał tak wytwornej i uroczej towarzyszki. I znów podążyły jego myśli w stronę Paryża. Przypomniał sobie ostatnią wielką aukcję u jubilera Weinzingera, na rue de la Paix, na której zdobył szmaragdy dla swej ukochanej. Wytworna sala wypełniona była nieomal po brzegi. Wszystkie piękne Paryżanki z aystokracji, finansjery, dyplomacji, świata teatralnego i demi-monde'u zjawiły się wraz z swymi mężami, przyjaciółmi, znajomymi. Aukcja zapowiadała się bardzo ciekawie, gdyż poza słynnemi szmaragdami miały być zlicytowane również inne drogocenne klejnoty. Mały, gruby jegomość o akcencie nieco niemieckim, w binoklach staroświeckich na grubym nosie, objaśniał publiczność co do pochodzenia, wartości i zalet wystawionych na licytację klejnotów. Gdy przyszła kolej na słynne szmaragdy, gruby jegomość, jakby chcąc nadać swym słowom większą wagę, cedził je przez zęby, jakby powierzając wielką tajemnicę publiczności.

— Les émeraudes historiques de la princesse de Marcellanges! D'après une tradition vielle de cent-cinquante ans elletirèrent d'ambarras le célèbre Giacomo Casanova, qui languissait pendant ce temps là en prison! [1]

Henryk Duprat, który oddawna poświęcał się studjom nad życiem słynnego awanturnika, doznał jakby lekkiego wstrząsu w chwili, gdy usłyszał o roli, jaką klejnoty odegrały w życiu Casanovy. Cóż to mogła być za legenda, o której on nie słyszał? Księżna de Marcellanges? Szukał w pamięci tego nazwiska, przypominał sobie osoby, które odegrały rolę w życiu wielkiego donżuana. Napróżno! Lecz nie było czasu na rozmyślania. Nicole, której oczy nabrały jakichś kocich błysków, spojrzała na niego błagalnie. Duszę byłby sprzedał djabłu w tej chwili, aby tylko zaspokoić każdy jej kaprys. Szmaragdy, które oddawna były jej marzeniem, działały na nią jak narkotyk. Była tak urocza, tak nęcąca, że Henryk, chociaż nie był rozrzutnikiem, postanowił kupić je za wszelką cenę. Dziwnym zbiegiem okoliczności kupił je ostatecznie za stosunkowo niską cenę, gdyż publiczność zaspokoiła swe namiętności kolekcjonerskie innemi już biżuterjami podczas aukcji, i nie licytowała szmaragdów zbyt wysoko. Po krótkiej walce z starą baronową von Richthofen, Henryk stał się właścicielem szmaragdów, które w dwa dni później zdobiły szyję, ręce i skronie pięknej Nicole. Lecz właśnie one stały się powodem zerwania z Nicole. Z namiętnością drapieżnika, kolekcjonująca biżuterje Nicole, okazała się zupełnie obojętną dla Henryka, skoro dopięła swego celu. O ile dotychczas grała przed nim o tyle lepiej komedję niż to robiła na deskach scenicznych, o ile kobieta lepszą jest aktorką w życiu, jak w wymyślonej komedji, to wkrótce potem postępowanie jej zmieniło się do niepoznania. Nie mówiąc mu tego otwarcie dawała mu do zrozumienia, że ją nudzi, i że jego zakochanie jest dowodem słabości, której ona u mężczyzny nie uznaje.

W duszy jego ambicja zwyciężyła miłość. Postanowił więcej nie widywać Nicole i mężnie znieść cios, jaki mu los zgotował. I dopiero po rozstaniu się z małą aktoreczką, zrozumiał jak bardzo był łatwowiernym, jak niegodną jego wielkiego uczucia była ta, którą uważał za swój ideał. Ale rana pozostała w sercu i chociaż wobec przyjaciół udawał spokojnego i nieco złośliwie zapatrującego się na kobiety człowieka, wspomnienie o Nicole bolało go w dalszym ciągu. Ale nie było już wyjścia, trzeba było znosić ból i uśmiechać się. Dopiero po pewnym czasie przypomniał sobie słowa, wypowiedziane o szmaragdach w związku z przygodami Casanovy. Jako młody historyk, poświęcający się zbieraniu materjałów do monografji Casanovy, postanowił całą sprawę wyjaśnić. Zresztą był gorącym wyznawcą wielkiego awanturnika, w którym widział nie tylko dziwną siłę witalną, niebywałą rzutkość, bogactwo pomysłów, ale którego podziwiał za jego sztukę życia, znawstwo w rozlicznych dziedzinach, zalety, których jemu samemu brak było zawsze. Jako przeciwieństwo samego siebie, raczej nieśmiałego wobec kobiet, nieco niezaradnego i łatwowiernego, genjalny Włoch, dla którego przygody wszelkiego rodzaju były właściwym żywiołem, pociągał go, jak żadna z postaci historycznych.

Nastąpiły długie miesiące poszukiwań w archiwach paryskich; grzebanie się w dziełach, pamiętnikach i rocznikach gazet XVIII wieku. Z nazwiskiem księżnej de Marcellanges spotykał się nieraz, ale wszystkie wspomnienia o niej kończyły się w pewnym punkcie, nie dając wiadomości o dalszych jej losach. Porównywano ją do pięknej księżnej de Lamballe, której głowę okrwawioną obnoszono po ulicach Paryża podczas rewolucji, ale jakoś niechętnie wspominano o właścicielce słynnych szmaragdów, nadmieniając, że los, jakiemu uległ jej mąż i dwaj synowie, którzy stracili życie w rewolucyjnej wichurze, nie pozwala na wspominanie różnych epizodów z życia księżnej. Cóż to mogło być, że ludzie ówcześni, tak wyrozumiali dla ludzkich słabostek i grzechów, wzdragali się pisać o pięknej damie? Zainteresowanie Henryka Duprat rosło z dnia na dzień. Zdawało mu się, że już jest na tropie tajemnicy, gdy znowu wymykała się mu ona z pod rąk nieomal. Wkońcu udało mu się odszukać ślad, wskazujący na Włochy, a w szczególności na Wenecję, jako miejsce, dokąd księżna wyjechała w pewnej chwili swego życia, nie pozostawiając po sobie jedynie wspomnienie płochej i pięknej kobiety.

Zajęty temi myślami prawie, że nie zwracał uwagi na poszczególne etapy swej podróży: włoską granicę z ukazaniem się celników w towarzystwie jakichś faszystowskich funkcjonarjuszy, grzecznych, milczących, rzeczowych i o wnikliwem spojrzeniu. Do-

[1]) Historyczne szmaragdy księżnej de Marcellanges! Według tradycji z przed 150 lat, wyratowały one słynnego Giacoma Casanovę z więzienia!

tychczas milczący i spokojny Anglik wplątał się w poważną dosyć awanturę z powodu przewożenia jakichś niedozwolonych towarów, co go ostatecznie kosztowało zapłacenie większej kary i zostawienie zakazanych przedmiotów na granicy; dłuższy postój w Turynie, na którego dworcu po raz pierwszy przyjrzeć się mógł wojskom włoskim wyruszającym do nowej kolonji — Abisynji; żegnanie się z rodzinami, śpiewy, gwar, bieganie po dworcu odjeżdżających żołnierzy, wszystko to tworzyło barwny i ciekawy obraz. Ale jakieś inne tempo, jakiś inny charakter panował w tem wszystkiem, niż się tego spodziewał Henryk Duprat. To już nie byli ci rozśpiewani, rozleniwieni słońcem Włosi, lecz jacyś nowi ludzie. Przechadzając się po peronie i paląc papierosa Henryk zastanawiał się nad metamorfozami, jakim uległ ten naród pod rządami Duce.

— Ale czy nie straci na tem urok tego kraju i narodu? — zapytywał się sam siebie. Czy nie zblednie romantyczność krajobrazu, czy ciche, urocze uliczki nie zapełnią się pospolitym gwarem XX wieku, czy ten powiew tajemniczości ostoi się przed amerykanizacją, tempem i szarzyzną naszej epoki? Automatycznie myśli jego przeniosły się do Wenecji, którą widział wkrótce po wojnie światowej, cichą, ospałą, jakby zmęczoną i wyczerpaną wojną i wstrząsami. Ciekawość zobaczenia po raz drugi miasta lagun stawała się coraz silniejsza. Tam przecież znajdował się klucz tajemnicy księżnej de Marcellanges, tam miał odszukać ślady jej drobnych stóp, tam wkońcu żył i kochał wielki bohater romantyczności — Casanova. Wspomnienia jego z pierwszego pobytu w Wenecji były dosyć nieznaczące, gdyż cały ówczesny jego pobyt kręcił się dookoła rozrywek, a największe zainteresowanie budziły u niego nie pomniki przeszłości a piękne Włoszki.

I znów pociąg ruszył w dalszą drogę mknąc w stronę Wenecji. Henryk oczekiwał przybycia do tego miasta jak spotkania z dawno niewidzianą, drogą osobą, której się ma tyle do powiedzenia. Nie mógł opanować niecierpliwości aż do chwili, kiedy zmęczony nieco podróżą, ale podniecony równocześnie wsiadł do „vaporetto" i kazał się wieźć do hotelu. W porannem słońcu migotały dachy licznych kościołów i pałaców, szare mury i stalowego koloru kamień łączył się dziwnie harmonijnie z skąpą zielenią, która wychylała się gałęziami ponad domy i mury. Odświeżał w pamięci nazwy historycznych miejsc, pałaców, kościołów: dziwny czar Wenecji brał go powoli w niewolę. Zdawało mu się, że całe współczesne życie zostało tam gdzieś hen, daleko, i że jakimś dziwnym przypadkiem wchodzi on w zaczarowany krąg przeszłości, rzeczy dawno minionych, pełnych tajemnic i niedomówień. Wypatrywał postaci wytwornego donżuana, Casanovy, w tych małych uliczkach, poprzecinanych wąskiemi mostkami i kanałami, w dużych gotyckich oknach różnych palazzów zdawało mu się mignęła sylwetka księżnej de Marcellanges.

Hotel również był jakimś ex-palazzem, dostosowanym do współczesnych wymagań komfortu, nosił na sobie jednak piętno niezwykłości i wytworności XV—XVIII wieku. Przebrawszy się i otrząsnąwszy ze siebie zmęczenie po podróży w gorącej kąpieli, Henryk Duprat rozpoczął wędrówkę po Wenecji. Było to dla niego jakby niemą rozmową z tem miastem, jego pamiątkami, dziełami sztuki. Odnajdywał rzeczy, które zafrapowały go za pierwszą bytnością, robił nowe spostrzeżenia. Choć był bardzo głodny, nie pytał się o adres kawiarni, lecz starał się sam ją odnaleźć. Wkońcu usiadłszy na małej piazzetta i popijając niezłą nawet kawę, zastanawiał się nad planem dalszego działania chcąc odnaleźć ślady bytności dawnej właścicielki jego pięknych szmaragdów. Wiedział, że księżna była w Wenecji w r. 1774. Z notatek jego wynikała, że mieszkała po swem przybyciu w pałacu Orseolo, ale czyż możnaby znaleźć jeszcze jakieś ślady jej pobytu lub pamiątki po niej, a co więcej po Casanovie, który jakąś tajemniczą, jak zwykle, grał rolę w tej całej aferze z szmaragdami? Orjentowanie się w mieście, bezplanowe, a jednak jakże miłe wędrowanie po mieście zabrały mu czas aż do samego wieczora. Kolację zjadł w hotelu, w salce o pięknych malowidłach, w której oprócz niego kilka rodzin niemieckich i angielskich opowiadało sobie wrażenie z odbytych wędrówek po muzeach. Paląc angielskiego papierosa, popijając wino włoskie i przysłuchując się urwanie do niego docierającym rozmowom gości hotelowych, Henryk Duprat czuł się szczęśliwy, gdyż odnalazł nastrój nowy, oryginalny, pełen uroku i niespodzianek.

Następnego dnia wyruszył na poszukiwanie „casa Orseolo". Wkońcu odnalazł stary, wyglądający na ruderę dom, otoczony sporym murem, za którym znajdował się mały ogródek warzywny i kilka drzew owocowych. Jakiś cyprys anemiczny, jakby zabłąkany wśród grządek, pochodził zapewne z czasów kiedy myślano bardziej o ozdobie jak praktyczności ogródka. Nad wejściem widniała kamienna tarcza herbowa dawnych właścicieli, jedyny znak, że dom ten, obecnie zamieszkały przez kilka ubogich rodzin, był kiedyś siedzibą potężnej rodziny weneckiej.

Gdy rozglądał się po ogrodzie, wyszła z domu stara kobieta, o zmęczonej pooranej zmarszczkami twarzy.

— Piszę pewną pracę historyczną, w której dom ten gra dużą rolę. Czy może mi pani powiedzieć, kto jest właścicielem domu i ktoby mi mógł powiedzieć coś o jego przeszłości? — zapytał starej kobiety.

— Właścicielką jestem ja sama, hrabina Manin. Co pan chce wiedzieć o tym domu?— odparła cichym, nieco skrzypiącym głosem.

— Pani wybaczy, że będę ją nudził szczegółami, ale tylko pani może mi dać pewne informacje. Otóż w XVIII wieku, tj. w r. 1774 mieszkała w tym domu pewna francuska księżna, która odegrała rolę w życiu Giacoma Casanovy...

— Wiem, wiem, — przerwała mu właścicielka dawnego palazzo. To była księżna de Marcellanges, przyjaciółka mojej praprababki. — Spojrzała na niego z smutnym uśmiechem. Jestem z domu hrabianka Orseolo, moja rodzina była kiedyś bardzo bogata, mieliśmy dożów w rodzinie. Dziś to się zmieniło. Żyję z wynajmu mieszkań w tym oto domu moich przodków. Mieszkają tu ubogie rodziny, płacą mało i ja żyję skromnie. Mój syn padł podczas wojny światowej. Nikogo nie mam na świecie. — A po chwili dodała: — Życie jest ciężkie, zwłaszcza gdy się jest starą kobietą...

Henryk Duprat poczuł szczere współczucie dla biednej kobiety, której życie musiało obfitować w tragiczne momenty. Zamilkł, czekając aż sama powróci do tematu.

— Proszę, niech pan wejdzie do domu. — Poprowadziła go dużym korytarzem do małego pokoju, w którym obok zwykłych, kulawych i zniszczonych mebli, stało kilka foteli Ludwika XVI i wspaniały stary sekretarz. Obicia były wyblakłe, posadzka miejscami wykazywała głębokie rysy i szczeliny.

— Oto cały mój apartament! — rzekła. — Salon i sypialnia i pokój jadalny. — Mówiła po francusku dosyć biegle, z typowym włoskim akcentem, ale wyrażała się tak, że poznawało się gruntowną jej znajomość tego języka.

— Moja praprababka bywała we Francji na dworze królewskim. Stąd pochodziła jej przyjaźń z księżną. Gdy z powodu jakichś tragedyj, o których nic bliższego nie wiem, księżna wyjechała do Wenecji, zamieszkała u nas. Przywiozła ze sobą tylko wspaniałe klejnoty, szmaragdy. Po pewnym czasie musiała sprzedać te klejnoty, a mej prababce darowała jeden pierścień z całego garnituru. Mój ojciec, który się zajmował sprawami rodzinnemi opowiadał mi nieraz, że od czasu jak te nieszczęsne szmaragdy weszły do naszego domu, nieszczęście w niem zagościło. Straciliśmy wszystko, a jedynie pamięć o tych rzeczach się utrzymała...

— Jestem pani niezmiernie wdzięczny za te informacje... — dziękował Henryk, który nie wierzył swemu szczęściu, że tak łatwo stosunkowo natrafił na ślad po pięknej księżnej. Postać Casanovy, który w jakiś tajemniczy sposób z temi szmaragdami jest związany, interesuje mnie bardzo, gdyż piszę o nim dzieło i każdy jego krok żywo mnie interesuje...

Staruszka zamyśliła się. Po chwili podeszła do sekretarza i otworzywszy go poczęła szukać czegoś w dużej szufladzie.

— Mówię o tej sprawie po raz drugi czy trzeci w mojem życiu. Za dużo miałam trosk, aby się tem zajmować, a zresztą musiałam zachować sekret, który moja prababka przyrzekła księżnej de Marcellanges. Ale dziś, po tylu latach, skoro i tak nikogo nie mam na świecie i ze mną tajemnica zeszłaby do grobu, mogę ją panu zdradzić, skoro pan zajmuje się temi sprawami. — Wyjęła z szuflady skórzany portfel, wypełniony jakiemiś papierami. — O, widzi pan, tu są listy Giacoma Casanovy do księżnej, listy, których nikt nie czytał poza mią i naszą rodziną.

Wyjmowała z portfelu list za listem i rozprostowywała jego pomięte brzegi.

— Księżna de Marcellanges poznała Casanovę podczas jego pobytu w Paryżu. Był jak pan wie, ulubieńcem kobiet i żadna nie umiała się mu oprzeć. Księżna zakochała się w nim do szaleństwa, ale nie chciała pójść śladem innych pań paryskich. Po pewnym czasie wielki awanturnik wyjechał z Paryża i podróżował po świecie. W r. 1774 znalazł się w Wenecji. Oddawna chciał wrócić do miasta, które kochał, ale dopiero w tym czasie uzyskał od Signorji zezwolenie na powrót, gdyż miał na sumieniu różne przewinienia wobec rządu św. Marka. Okazało się jednak, że tym razem „Tajna Rada" była sprytniejsza od Casanovy: zezwolenie na powrót było tylko fikcją, chciano go dostać w swoje ręce, aby z niego torturami wydobyć pewne polityczne tajemnice, których był depozytarjuszem. Casanova oddawna przeczuwał, że coś jest nie w porządku, ale polegał na swoim sprycie. W tymże czasie do Wenecji przyjechała do niego księżna de Marcellanges. Była to kobieta wyjątkowa: mądra, wykształcona, urocza. Casanova kochał ją jak żadną inną kobietę, więcej, szanował ją i byłby dla niej wszystko poświęcił. Widywali się u mojej prababki, pomimo wielkiej miłości, pomimo, że porzuciła męża i dwoje małych dzieci, nie została nigdy jego kochanką. Gdy pewnego dnia dowiedział się Casanova, że grozi mu uwięzienie, i że jedyną drogą ratunku to przekupienie pewnych dygnitarzy weneckich, lubiących pieniądze, zwrócił się do księżnej z błagalną prośbą, aby go ratowała. Księżna nie namyślając się długo: darowała mu swoje bezcenne szmaragdy, które ocaliły go z rąk zbirów dostojnej Signorji. Przekupił kogo było trzeba i uciekł zagranicę; nigdy więcej noga jego nie postała na placu św. Marka. W przeddzień ucieczki, nie mogąc widzieć się z księżną napisał do niej list, który ona zawsze uważała za swój największy skarb. Oto on, proszę niech pan czyta:

Podała mu duży arkusz papieru zapisany równem, pięknem pismem.

„Droga księżno i jedyna moja miłości. Bladnie księżyc na niebie w chwili, kiedy piszę te słowa. Jutro opuszczam Wenecję w przebraniu rybaka. Już nigdy jej więcej nie zobaczę, ale mam też przeczucie, że moje drogi życia oddalą mnie od Ciebie, księżno. Twoje szmaragdy ułatwiły mi ucieczkę: niema ce-

Dokończenie na str. 24-ej



Słoneczna Italja czeka na Was
WAGONS LITS
CON
ZE
LETTI
Pobyt w kąpieliskach włoskich daje Wam swoiste i niezrównane atrakcje. Plaże zalane słońcem, czarujące pięknem, rozciągają się na wybrzeżach trzech mórz otaczających półwysep. Klimat ciepły i łagodny, piękno krajobrazu, najbardziej nowoczesne najracjonalniejsze urządzenie kąpielisk, międzynarodowe towarzystwo, sporty, zapewniają Wam najmilszy i najprzyjemniejszy pobyt.
WENECJA
romantyczna królowa Adrjatyku posiada na Lido najwytworniejszą ze wszystkich plaż włoskich.
Aż do 4-go listopada — wystawa dzieł Tintoretta; od 10-go sierpnia do 3-go września — międzynarodowa wystawa sztuki kinematograficznej; od 7-go do 14-go września — festival muzyki nowoczesnej.
Kasyna w Wenecji i San Remo (ruletka — trente i quarante — baccarat) gromadzą elitę turystyki międzynarodowej. — Bony hotelowe i benzynowe oraz zniżki kolejowe (50—70%) redukują do minimum koszty pobytu i podróży.
Informacje:
ENIT przy Królewskiej Ambasadzie Italji w Warszawie oraz wszystkie biura podróży i turystyczne.

LUDZIE ARENY

Gasną jasne ślepia reflektorów i gasną odblaski w barwistych dżetach i złoceniach kostjumów, arenę zalewa cisza, a tylko z odległych manężów dla koni dolatuje dzwonienie łańcuchów i przyciszone rżenie.

Milkną ostatnie zabłąkane akordy orkiestry, pod płóciennem sklepieniem cyrkowego namiotu i szarość zalewa wielkie kolisko areny, które tak niedawno skrzyło się światłami i tysiącami barw.

I o cyrku prędko się zapomina.

Tak jak i o jego ludziach.

Jeszcze dziś widnieją imiona drukowane wielkiemi trzcionkami, na barwistych afiszach — a jutro już...

Jutro cyrk powędruje dalej, pozostawiając po sobie krótkie wspomnienia, a czasem też któregoś z załogi cyrkowej tego kogoś, który już w dalsze tournée nie pojedzie.

Czasami wspomni się jego imię w zespole, ale ponieważ: „Die Toten reiten schnell", więc i o nim prędko się zapomina.

A jednak w historji nowoczesnych cyrków istnieją imiona, które pozostaną w pamięci na zawsze, a na czoło dyrektorów, dresse-



Dyrektor cyrku, Maksymiljan Truzzi, według starej minjatury.

rów i trenerów czy założycieli bezsprzecznie wybijają się dwa nazwiska: Truzzi i Ciniselli, dwaj ludzie, o których można powiedzieć, że zginęli „śmiercią dyrektorów cyrku".

Siedemdziesiąte lata ubiegłego stulecia to okres wielkiego renesansu imprez cyrkowych, to przerodzenie się cyrku z marnej budy jarmarcznej w poważne przedsiębiorstwo artystyczne, gromadzące w swych licznych wagonach tysięczny personel artystyczny, techniczny, całą maszynerję dodatkową, a wreszcie zastępy koni i „zespoły" zwierząt, których tresurę do maestrji doprowadził Karol Hagenbeck.

A potem Krone i Busch z kilkunastu zespołami przepłyną ocean i zgarną złoto w miastach Nowego Świata, wybudują bazy we wszystkich większych miastach Europy i zasłyną na świat cały, zachwycony ich przedsiębiorstwami.

Polski cyrk Staniewskich będzie miał swych przewodników w osobach dwóch Italczyków Imci Pana Truzzi i Aleksandra Ciniselli.

Jak umarł ten ostatni?...

Pomówimy i o tem. Truzzi zaś zmarł śmiercią bohatera, pozostawiając po sobie zapomnianą mogiłę na wileńskiej Rossie i wnuczki, które po dziś dzień podróżują z cyrkami, jako woltyżerki. Gentildonny sławę i mienia swego dziada, pielęgnują dalej na różnych arenach Europy.

Był to czas, kiedy cyrk po raz pierwszy wprowadził inowację, nielada inowację poza tresurą wielkich zespołów koni, tresurę dzikich zwierząt. Hagenbeck zmysłem świetnego organizatora cyrków, wynaleźć zdołał fenomenalnego Petersa, który tresurę zwierząt dzikich wprowadził na nowe tory, nie gromiąc dapieżników, ale przemawiając do nich metodami pedagogicznego nauczania, gdzie rewolwer i rozpalone widły nie znajdowały miejsca, a które do woli człowieka nakłaniało zwierzęta łagodnem słowem i cierpliwością. W osiemdziesiątych latach ubiegłego stulecia przepłacano impresarja wielu tysiącami za jeden występ ensemblu zwierzęcego, agencje przelicytowywały zespół lwów Hagenbeka na kilkanaście miesięcy naprzód. Wtedy to, gdy żaden z dyrektorów cyrków nie śmiałby marzyć o zdobyciu Hagenbeckowskiego zespołu, konkurent nielada, bo znakomity tresser konia Truzzi, wpada na pomysł, ażeby na własną rękę stworzyć sensację nową i by do zespołu koni dołączyć jedno z dzikich zwierząt — lwa albo tygrysa. Wybór pada na lwa, którego do tresury bierze sam Truzzi, pragnąc wystąpić z nowym „numerem", woltyżerki króla zwierząt na koniu.

Od chwili stworzenia tych dwóch gatunków zwierząt, między mięsożernym drapieżcą a trawożercami, istniała niewypowiedziana a długa wojna. Konie dzikie — zebry, poczuwszy lwa w pustyni czy na stepie, biły kopytami, uciekając w popłochu, konie zespołu Truzzi'ego, na widok nowego „artysty" dostawały szału i uciekały z areny. Po wielu trudach, po bezgranicznem zużyciu cierpliwości, Truzzi osiąga rezultat nielada. Oto koń odpowiednio uzbrojony na karku pancerzem iglicowym, godzi się na woltyżerskie siodło lwa, który oswoiwszy się z otoczeniem końskiem, chętnie wskakuje na siodło i dokonuje na nim ekwilibrystyczne sztuki woltyżeri.

„Numer" idzie na afisze i wywołuje sensację nielada. Z sześciu miast europejskich do Petersburga, gdy bawił Truzzi z zespołem, przychodzą depesze, angażując cyrk na bajecznych warunkach do kilku stolic Europy, elita nadnewiańskiej stolicy wykupuje bilety po kilkanaście dni naprzód, ale po dwóch tygodniach wielkich sukcesów Truzzi z nową sensacją wyjeżdża z Rosji, by wystąpić w Warszawie, w Berlinie, w Paryżu i New Jorku. Ale w Wilnie zatrzymuje dyrektora przedsiębiorca miejscowy Schuman, namawiając właściciela cyrku, by ten zechciał dać jeden, jedyny występ, gwarantując dziesięciotysięczne minimum, więc Truzzi ulega, nie wiedząc, że tu właśnie czeka na niego śmierć. W obecności następcy tronu, który bawił właśnie na Wileńszczyźnie na manewrach, cyrk rozpoczyna występy. Popisują się dżentelmeńską jazdą dwie córki dyrektora, zespół żonglerów-Chińczyków zadziwia prestidigitatorstwem, aż oto następuje uroczysta chwila wielkiego „numeru". Herold anonsuje występ dyrektora Truzzi z woltyżerem-lwem.

Nie rozstawiono nawet klatek, bo lew był zupełnie oswojony a na arenę wbiega piękna złocista klacz. Gdy galopuje wokół areny, Truzzi wyprowadza lwa-woltyżera. Panie w lożach powstawały z przejęcia, panowie dla dodania sobie odwagi pokręcali wąsa, a lew skakał zręcznie jak bajadera, robił salta przez obręcze, aż wreszcie „numer" dobiegł końca i Truzzi, ująwszy konia za wodze podszedł do loży cesarzewicza, by złożyć ukłon. W popisie był przewidziany ukłon konia, ale w tej właśnie chwili, gdy koń schylił kolana, lew w siodle straciwszy równowagę całym ciężarem ciała padł na dyrektora.

Ktoś zawołał ratunku, ktoś zgasił światła, powstał popłoch nie do opisania.

Ale gdy ponownie światła zapalono, lew siedział opodal spokojnie, przyglądając się leżącemu dyrektorowi, podbiegli menażerowie i przekonali się, że Truzzi... nie żyje!

Lew, spadając całym ciężarem ciała, zmiażdżył już niemłodemu Truzzi podstawę czaszki i kręg pacierzowy.

I pochowano go na Rossie wileńskiej, jego jednego z ojców nowoczesnych imprez cyrkowych — senjora, dostojnego rodu cyrkowców Truzzich, którzy i dziś jeszcze cwałują na woltyżerskich siodłach różnych cyrków świata.

Miał on zamiar wraz ze swym młodym pomocnikiem Aleksandrem Cinisellim otworzyć pierwszy cyrk polski w Warszawie i w przededniu zorganizowania tej imprezy zginął w Wilnie.

A Ciniselli?

Wielki Aleksander Ciniselli? Stworzył cyrk wspaniały w Polsce, wielki pierwszy cyrk w stolicy. Własnym sumptem wzniósł na Ordynackiej ulicy gmach, angażował najprzedniejsze zespoły i atrakcje artystyczne, zdołał nawet namówić wielkiego tressera, Karola Petersa, by zjechał do Warszawy z dwudziestu czterema swymi tygrysami, on, Ciniselli, który w apartamentach swoich przyjmował wielkich książąt i gościł wszystkie królewięta polskie.

A potem przyszła wojna. I na emigracji w Kijowie, wymordowano w czasie bolszewizmu Cinisillemu jego piękne araby, ograbiono z brylantów i dobra, więc wrócił po tułaczce nędzarzem do kraju. Jeszcze przed kilku laty, w małych wędrownych cyrkach występował jako szef wyższej szkoły jazdy. W trochę wyszarzałym fraku, z gracją wielkiego pana, kłaniając się z siodła cylindrem

Zawitał do Wilna z jakąś budą wędrowną i rozmawialiśmy razem o Truzzim. Dopóki głos jakiegoś obszarpańca nie wywołał go z garderoby.

— Ciniselli — wychodźcie!

„Wychodźcie"? On, który rozkazywał takiemu Petersowi!

I umarł w biedzie zupełnej i zapomniany. Wielki Aleksander Ciniselli.

O ironjo!

Umarł w „cyrku" warszawskim u ojców Albertynów, jako nędzarz bezdomny. I tylko policja potem, sprawdzając dokumenty, dowiedziała się, kim był ten biedaczyna.

Feliks Dangel.

Było to w owych czasach, gdy piszący te słowa parał się jeszcze z aktorskim zawodem i stawiał jako nowo upieczony aspirant ZASP'u pierwsze kroki na scenicznych deskach. Miałem wtedy sposobność zetknąć się po raz pierwszy z potężną indywidualnością Stefana Jaracza w Teatrze Polskim Szyfmana, gdzie w sztuce „Artyści" otrzymałem jeden z „ogonów", jak się to mówi w powszechnej gwarze aktorskiej, czyli jedną z maleńkich rólek. Naturalnie poza kurtuazyjnem przedstawieniem się wielkiemu artyście nie miałem do niego dostępu, krążąc jedynie zdaleka wokół jego garderoby, przyciągany wielkim urokiem, jaki Jaracz wywierał na nas młodych. A była nas tam wtedy dość pokaźna grupka, wśród niej paru redutowców, przepojonych „mistycyzmem" osterwowskiego instytutu, co do pewnego stopnia przyczyniało się do wytworzenia w duszy młodego aspirancika nastroju „świątynnego" i głębokiej admiracji dla tych, którzy stali już na świeczniku sławy, a byli narazie dla nas niedoścignionym wzorem. Toteż z jakiem nabożeństwem przygotowywaliśmy do występu nasze „ogony"! Z jaką trwogą wchodziliśmy na scenę podczas prób, kiedy patrzyły na nas oczy tak szacownych partnerów! A już prawie dech w piersiach zapierało, gdy np. przyszło wykonać niesłychanie ważną funkcję w ostatnim akcie „Artystów" i pochwycić w ramiona mdlejącego biednego Skida. Jak cenny skarb chwytało się wtedy Stefana Jaracza i pochylało nad nim z prawdziwem współczuciem, gdy tymczasem starsze już pokolenie kolegów często, gwoli zdrowemu poczuciu humoru, wyczyniało przeróżne na scenie kawały. Potem w antraktach naszych krótkich „wyjść" robiło się wyścig wraz z kilkoma innemi „pisklętami teatru" do nielicznych dziurek w kulisach, gdzie można było, zmrużywszy jedno oko, obserwować perypetje nieszczęśliwego bohatera sztuki. Częstokroć wtedy niejeden z tych „podglądaczy" popłakał się za kulisami, jak bóbr i chyłkiem wracał do garderoby, by go na tej „niemęskiej robocie" nie przyłapał któryś z kolegów. Tak to grał Jaracz, biorąc w jassyr serca nietylko publiczności, ale — co bodajże jest jeszcze większym sukcesem — nawet tych, którzy z nim razem, choćby w najskromniejszym zakresie, stwarzali widowni iluzję rzeczywistego świata. Najbardziej zaś frapowały nas młodych „wyjścia" wielkiego artysty na scenę. Zaczynały się one właściwie już przy progu jego garderoby. Wychodził z niej zazwyczaj nie Stefan Jaracz, lecz ten, którego on w danej sztuce „grał". A gdy to była jakaś scena o wysokiem napięciu dramatycznem — to mrowie człowieka przechodziło, gdy się koło nas ku wyjściu przesuwał. Po wygraniu takiej sceny, powracał za kulisy bardzo znużony, jakby po ciężkim, męczącym śnie, w którym żył życiem obcej indywidualności. Usuwaliśmy się wtedy przed nim z szacunkiem — a on jakby nas nie widział, tylko dążył nerwowym krokiem ku kurytarzykowi, przylegającemu do garderób i znikał u siebie, by na chwilę wypocząć. Wtedy rozchodziliśmy się po naszych „norkach" i tam komentowaliśmy na różne sposoby styl gry wielkiego artysty. I tak było co wieczór, przez całe trzy miesiące idącej codziennie bez przerwy sztuki. Codziennie takie same wrażenie, ba — codziennie potężniejsze, jako że Stefan Jaracz nie ma zwyczaju powtarzania się nawet w tej samej kreacji. Pamiętam moment, gdy raz za kulisy przyszedł jeden z wielbicieli jego talentu i przejęty oznajmił Jaraczowi, że jest już po raz piąty na „Artystach", a „za każdym razem mistrz jest coraz to inny, doskonalszy" — Jaracz uśmiechnął się tym swoim dobrym, trochę smutnym uśmiechem i powiedział: „Dziś będzie znowu inaczej". I rzeczywiście tak było! Codziennie przechodził samego siebie z dnia poprzedniego, codziennie był coraz to lepszy i psychologicznie pełniejszy. To też porywał za sobą współgrających, z których najmniejszy „ciura" stawał na głowie, by również przejść siebie samego. Dlatego wszystkie przedstawienia tej samej sztuki, w której brał udział Jaracz, miały zawsze nastrój premjerowy, były codziennie powtarzającem się świętem aktorskiego kunsztu tego prawdziwego poety teatru.



Na prawo: Stefan Jaracz jako woźny ministerjalny w komedji Birabeau pt. „Woźny i minister".

Dziś występ Jaracza...

Poniżej w kole: Stefan Jaracz jako minister w komedji p. t. »Woźny i minister«.



Wkrótce potem weszedłem w skład zespołu warszawskiego teatru dla dzieci „Jaskółka", którego próby odbywały się w domu pp. Jaraczów. Codziennie przesiadywaliśmy w ilości kilkunastu osób w domu artysty, który z całą serdecznością udzielił azylu bezdomnej narazie w swych początkach „Jaskółce". Tam widywaliśmy tylko Jaracza przelotnie, zazwyczaj wtedy, gdy znużony zrywał się ze snu, by odstąpić nam pokój na próby. Była to przecież dla niego duża niewygoda, a jednak nie dał nam niczem



Na lewo: Zbiorowa scena z „Ludzi na krze" Wernera (od lewej) z Stefanem Jaraczem, Boguckim, Bonacką, Kryńską, Daniłowiczem, Perzanowską i Pośpiełowskim.

tego poznać i owszem, jakgdyby się cieszył naszą pracą i naszym zapałem — bo właściwie pracowaliśmy na próbach zupełnie bezinteresownie. Wiedział on zapewne o tem i dlatego właśnie może nas tak serdecznie u siebie gościł. Bo Stefan Jaracz nigdy nie myśli o pieniądzach lub sławie, dla niego jedynym celem jest sztuka i to w najlepszem tego słowa znaczeniu. Cieszyło go więc widocznie to, że aktorska młodzież garnie się bez względu na warunki tam, gdzie można coś stworzyć pożytecznego dla sztuki i jej konsumentów, zwłaszcza — jeśli konsumentami tymi ma być najwdzięczniejsza w świecie publiczność — dzieci.



Stefan Jaracz i J. Polakówna w »Szkole żon« Moliera.

Po raz trzeci zetknąłem się przelotnie z Jaraczem już w jego własnym teatrze, o którym, jak powiadał, marzył przez całe życie i do którego wreszcie doszedł. Była to swego rodzaju sensacja w Warszawie, mieszcząca się na ulicy Czerwonego Krzyża w domu kolejowców. Prześliczna salka teatralna i mała scenka stały się siedzibą zespołu, który wkrótce po swem powstaniu pokazał pod kierunkiem świetnego artysty swój lwi pazur. Wtedy w młodym światku aktorskim zakotłowało. Wielu z nas dałoby sobie rękę uciąć, byleby móc dostać się do tego nowego teatru, ale cóż! Może wielu było powołanych, ale niestety mało wybranych. Chciałem i ja wtedy dotrzeć do Jaracza. W pierwszym sezonie nie udało mi się — w drugim dopiero rozpocząłem starania, lecz niestety dla mnie naówczas bez rezultatu, ponieważ ubiegli mnie szczęśliwsi. Ale zdołałem wtedy dotrzeć do jego garderoby, gdzie się charakteryzował i usłyszeć parę cierpkich uwag na temat upadku sztuki aktorskiej, wygłoszonych do swego zespołu. Z tego, co mówił i jak mówił, widać było — jak ten człowiek głęboko odczuwa wszystkie te okoliczności, które sprofesjonalizowały aktorską sztukę i zamknęły ją w ciasne ramki organizacyjnych paragrafów. Zgorzkniałym głosem i w mocnych słowach dawał wyraz swemu oburzeniu, a wszyscy słuchali go w milczeniu, wiedząc, że ma najzupełniejszą słuszność.

Niedługo po tej wizycie w teatrze Jaracza — wyjechałem na stały pobyt do Krakowa. I tu ostatnio po raz czwarty miałem sposobność pomówienia z wielkim artystą, teraz, gdy zjechał ze swoją trupą na blisko trzytygodniowy pobyt, by nam pokazać trzy majstersztyki swego zespołu, — przygotowanego wprawną dłonią reżyserską Stanisławy Perzanowskiej. W dwugodzinnej prawie rozmowie poruszyliśmy cały szereg tematów, stojących w związku z obecnym stanem kultury teatralnej w Polsce, przyczynami jej wybitnego obniżenia i środkami, jakichby użyć należało, by stan ten uległ wreszcie zmianie. Niestety — szczupłość miejsca w niniejszym felietonie nie pozwala mi na dokładne przedstawienie tutaj tej interesującej rozmowy. Podkreślę jedynie, że znów w niej zaznaczyła się głęboka troska o najżywotniejsze sprawy teatru polskiego, które tak bardzo Jaraczowi leżą na sercu.

Podziwialiśmy obecnie wielkiego mistrza w „Szkole żon" Moliera, bawiliśmy się serdecznie perypetjami woźnego ministerjalnego w „Woźnym i ministrze" Birabeau, przejmowali do głębi kreacją jego w „Ludziach na krze" Wernera. Stefan Jaracz znów pokazał swój lwi pazur. Toteż płachty afiszów z napisem: „Dziś występ Jaracza..." emocjonują każdego teatromana, ściągając do teatru tłumy publiczności, żądnej prawdziwej, wielkiej sztuki. **Adam Cyprian.**

Poniżej: K. Laszczka: Kopernik (drzewo).



BYDGOSKA SKARBNICA KULTURY

Jednym z najbardziej ujemnych skutków rządów pruskich na zachodnich ziemiach polskich, to zniszczenie wielu zabytków kultury i sztuki, jak również wyjałowienie psychologji mieszkańców tych ziem pod względem zrozumienia walorów artystycznych. Za czasów polskich społeczeństwo ziem zachodnich przystąpiło energicznie do niwelowania tych właściwości i przy pomocy prywatnej hojności i poparciu władz wznosi „artystyczne sanatorja", mogące skutecznie leczyć „pacjentów", dotkniętych brakiem zrozumienia dla sztuki.

Jedną z takich lecznic jest ośrodek kulturalny w Bydgoszczy, promieniujący nietylko na znaczną połać Wielkopolski, ale przedewszystkiem i na Pomorze. Nadchodzące „dni Bydgoszczy" najwymowniej zadokumentują, jak wartościowy dorobek sztuki, literatury, kultury polskiej i obcej zdołano w ostatnich latach tu zebrać i, dzięki energicznym staraniom prezydenta miasta, Barciszewskiego, udostępnić społeczeństwu.

A zaczęło się bardzo skromnie: W Bydgoszczy, twierdzy hakatyzmu pruskiego, w pierwszych latach bieżącego stulecia założono Bibljotekę Miejską, ignorującą oczywiście dzieła polskie, a kompletującą niemieckie. Gdy w r. 1920 Bibljoteka Miejska przeszła w ręce polskie, trzeba było zacząć pracę zupełnie od nowa. Powierzono ją wybitnemu znawcy tej dziedziny, młodemu, tryskającemu wiedzą i zapalczywą wytrwałością, dr. Witołdowi Bełzie, i pod jego kierownictwem, trwającem po dziś dzień, roz-



Leon Wyczółkowski: Białowieża.

począł się intensywny rozwój powierzonej mu placówki. Dzięki subwencjom i ofiarności całego społeczeństwa, Bibljoteka rozwija się wspaniale i dziś już księgozbiór polski zbliża się do cyfry 200.000 tomów. Ponadto Bibljoteka posiada cenny zbiór autografów (wyłącznie z czasów polskich), przekraczający już dawno cyfrę tysiąca, wśród których znajdują się odręczne pisma Zygmunta Krasińskiego, T. Lenartowicza, F. Chopina, St. Moniuszki, St. Żeromskiego, gen. Chłopickiego J. Fałata i w. in., a przytoczone tu nazwiska mają tylko wskazać, że reprezentowane są w wspomnianym tu zbiorze przedstawiciele wszystkich działów kultury i historji polskiej. Bardzo bogaty i niezwykle cenny jest zbiór rękopisów najznakomitszych naszych pisarzy, kolekcje map i ekslibrisów należą również do bogatych i ciekawych.

Charakter Bibljoteki jest naukowy, ale równocześnie pod zarządem Bibljoteki Miejskiej znajduje się Bibljoteka Ludowa, przeznaczona dla szerokich mas ludności, która gromadzi dzieła popularno-naukowe, beletrystyczne, posiada osobny dział dla dzieci i młodzieży.



Na lewo: Żelazny miecz Wikingów (głowica i poprzeczka z rogu), znaleziony w Brdyujściu.

Oryginalnym nabytkiem Bibljoteki jest obfity zbiór autografów i książek z prywatnej bibljoteki Lenina, ofiarowany przez A. Grzymałę-Siedleckiego, a posiadający dużą wartość ze względu na bardzo ciekawe uwagi twórcy bolszewizmu rosyjskiego. Rząd sowiecki żywo interesował się księgozbiorem Lenina i kilkakrotnie delegował do Bydgoszczy swych reprezentantów dla dokonania zdjęć fotograficznych i przeprowadzenia badań.

Nakładem Bibljoteki Miejskiej ukazało się już kilka wydawnictw, a do najważniejszych należą, wydawany przez nią, „Przegląd Bydgoski", regjonalne czasopismo naukowo-literackie, oraz luksusowo wydana przed kilku laty księga pamiątkowa „Na dziesięciolecie Bibljoteki Miejskiej w Bydgoszczy".

Owocem działalności Bibljoteki Miejskiej jest również powstanie Muzeum Miejskiego, które zainicjował kustosz Bibljoteki ks. Jan Klein i został jego pierwszym dyrektorem. Muzeum Miejskie zrazu bardzo skromne, zdołało zgromadzić ciekawe zbiory prehistoryczne i wczesno-historyczne, odnoszące się głównie do historji ziem wielkopolskiej i pomorskiej, zebrać sporo cennych pamiątek, stylowych mebli, a przedewszystkiem małą galerję obrazów.



Na prawo: Galerja obrazów, rzeźby i stylowe meble w Muzeum Miejskiem w Bydgoszczy.

Nowy etap w rozwoju placówek, a zwłaszcza Muzeum, rozpoczęły bezcenne dary, jakiemi obdarzyli Bydgoszcz — wdowa po genjalnym twórcy Leonie Wyczółkowskim, i, naśladujący jej hojność, znakomity rzeźbiarz Konstanty Laszczka i prez. Kazimierz Kierski z Poznania. Niedawno odbyło się w Bydgoszczy otwarcie wielkiej wystawy, obejmującej artystyczne i naukowe nabytki.

Bogaty, kilkaset pozycyj liczący zbiór malarskich i graficznych dzieł Wyczółkowskiego charakteryzuje, jak dotąd żadna wystawa, najwymowniej i najwszechstronniej potężny dorobek wielkiego twórcy, o którym pięknie mówił na akademji ku jego czci dr Władysław Zawistowski.



Na prawo: Dział grafiki w galerji obrazów Muzeum Miejskiego w Bydgoszczy.



Konstanty Laszczka: Generał Sowiński (gips).

„Cały ten polski świat — jakże tu wyliczyć jego nieogarnione bogactwo — poddawał się wzrokowi Wyczółkowskiego i odkrywał mu wszystkie swe tajemnice. Nietylko oczy jego widziały kształt i barwę, ale i uszy zdawały się słyszeć mowę przyrody, nastrojoną na wszystkie tony, od szumu gwałtownych burz, aż po szepty najbardziej utajone i wstydliwe, po westchnienia najcichsze i najrzadsze. Że nie wiadomo nigdy czy woda bardziej jest światłem i blaskiem, czy szemraniem i szumem, czy też lazurem i zieloną ślizgłością. Jakby tysiąc zmysłów spadało z jego źrenic na jej nieprzebrane bogactwa — i stawało się jednym zmysłem tylko tym, który widzi, przenika — i zatrzymuje na wieczność.

Jak Mickiewicz w poezji nie pisał, ale malował słowami, — tak Wyczółkowski w plastyce nie malował, nie kreślił, — ale tajemniczemi hieroglifami, których prostota spadała na widza jak objawienie — wypowiedział polską ziemię, jej narodową i etniczną odrębność"...

Osobne miejsce na wystawie zajmują rzeźby krakowskiego artysty Konstantego Laszczki. 12 prac artysty charakteryzuje jego dorobek różnych okresów twórczości.

Kolekcja ofiarowana przez prez. Kierskiego obejmuje 2700 dokumentów z różnych epok dziejów Polski, w tem znajduje się zgórą 500 dokumentów królewskich i komplet autografów królów polskich, począwszy od Jana Olbrachta. *(swb).*



Leon Wyczółkowski: Zamek w Lublinie.

Hannibal ante portas!



Scena z włoskiego filmu pt. „Kondotierzy".



Na lewo: Podczas montowania filmu „Scypion Afrykański" — umieszczenie „siodła" na grzbiecie słonia nie jest rzeczą łatwą!

Na prawo: Filmy włoskie obfitują w liczne nastrojowe sceny o wielkiej wyrazistości kompozycji. Oto fragment filmu „Kondotierzy", na którym widzimy „Piazza della Signoria" w Florencji w ciekawem oświetleniu.

Mamy przed sobą najnowszy biuletyn włoski: oto dywizje włoskie odniosły nowe zwycięstwo, pobiły mianowicie Kartagińczyków! Hannibal, który był już u bram Rzymu, został zmuszony do odwrotu. Kartagina została zburzona, a na jej gruzach rozwija się potęga rzymska.

Są to wiadomości — z ostatniej chwili. Tak — rzecz się dzieje w roku 1937! Nie wierzycie? Patrzcie, oto po bitwie pod Zamą, gdzie „rączo" szarżowały słonie, od których w prostej linji pochodzą nasze czołgi — Hannibal i Scipio afrykański poszli na szachy do kantyny. Popijają Chianti — i rozważają szanse zwycięstwa generała Franco w Hiszpanji. Hannibal jest już bardzo zmęczony i marzy o urlopie w Szwajcarji, gdzieś w hotelu na niedostępnym szczycie górskim, dokąd udać się kolejką górską. Scipio afrykański zaś marzy o założeniu w Addis Abebie wytwórni włoskich lodów.

Jesteśmy za kulisami wytwórni filmowej E. N. I. C. — która przy pomocy dywizji piechoty, brygady kawalerji zdobyła szturmem należne miejsce w Europie kinematografji włoskiej. Bo film włoski był przez długie lata kopciuszkiem w Europie. Był jak duch: — wierzono, że istnieje, ale nikt go nigdy nie widział.

Teraz dopiero zobaczą — bo obraz „Scipio Afrykański", jaki Włosi nakręcili, zdobędzie sobie ekrany Europy. Słychać już tętent galopujących słoni, słychać zgiełk bitewny, widzimy zmagania pod Zamą. Przesuwają się przed nami postacie tak dobrze znane ogółowi z historji wojen punickich.

Dziwnym zbiegiem okoliczności rolę Scipiona Afrykańskiego gra... Annibale Ninchi! Rolę natomiast Hannibala — gra Camillo Pilotto. Rolę sprzymierzeńca Scipiona — Massynissy objął doskonały aktor włoski Fosco Giachetti. W rolach kobiecych ujrzymy Isę Mirandę, jako młodą dziewczynę rzymską Velię, oraz Francescę Braggiotti, jako królową numidyjską Sofonisbę. W dalszych rolach równie świetna obsada.

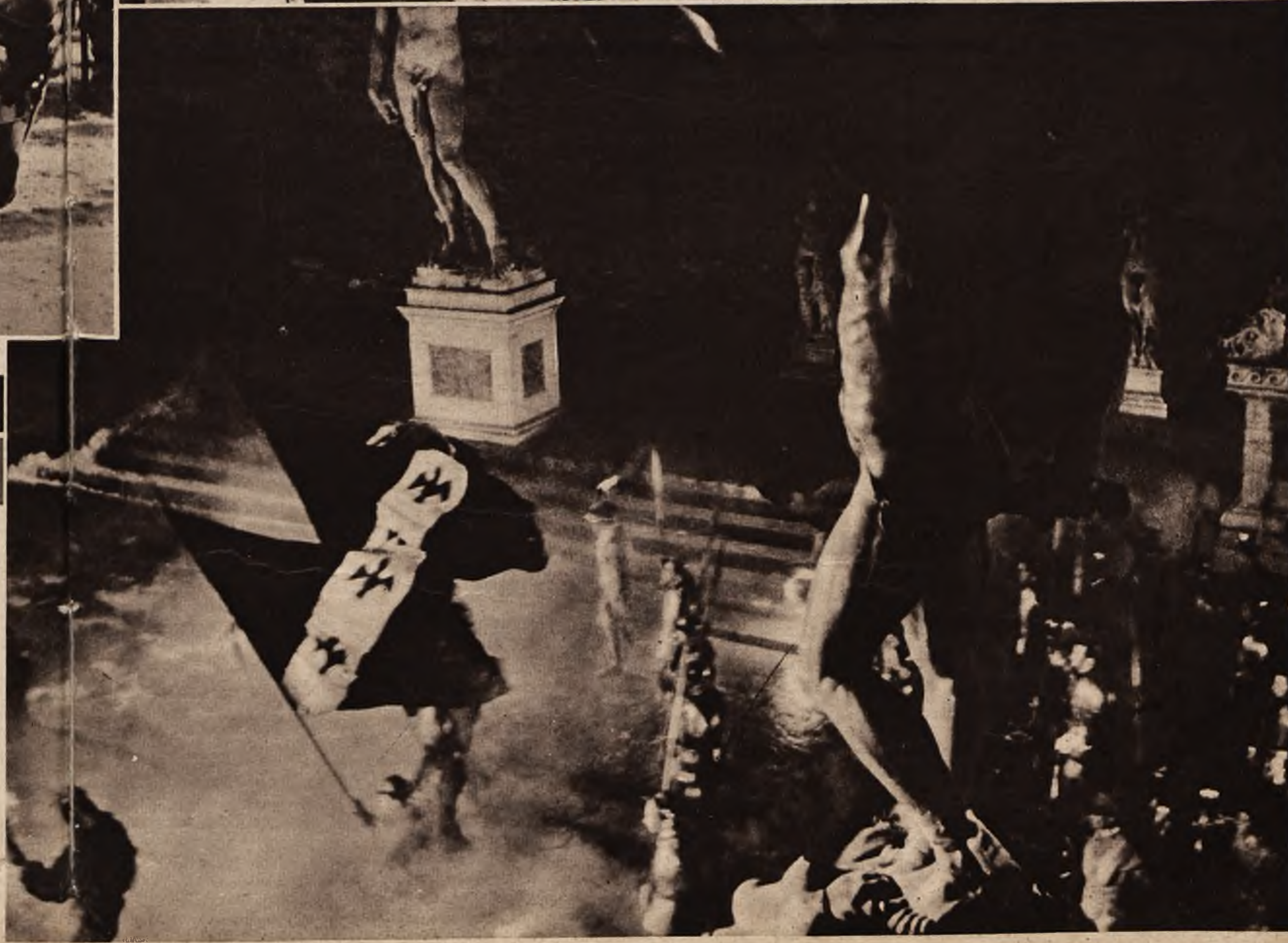
Film opracował znany reżyser włoski Carmine Gallone. Pracował nad tym obrazem przez długi okres czasu: — samo opracowanie bitwy pod Zamą trwało przez cztery miesiące. Ale też stworzono świetny obraz bitwy — dający widzowi całokształt tej decydującej walki, — opracowano ją na podstawie źródeł historycznych, ujmując wszystkie jej strategiczne momenty.

Włosi dają Europie świetny film historyczny; jest to robota sumienna. Ujrzymy wartościowy obraz batalistyczny, o ciekawych epizodach, posiadających emocjonującą akcję. Obraz, jakiego Ameryka nie potrafiłaby stworzyć. Włosi nawiązują do swych świetnych tradycyj również realizacją filmów historycznych — i wskrzeszają na ekranie wizję swej dawnej potęgi — która dziś odrodziła się — i w życiu i w filmie...

Grot.



Na lewo: „Scypion Afrykański" jeden z najnowszych filmów włoskich zdołał zobrazować w pięknych scenach wielką przeszłość narodu włoskiego. Oto jeden z ciekawszych fragmentów.



PISMO WTAJEMNICZONYCH

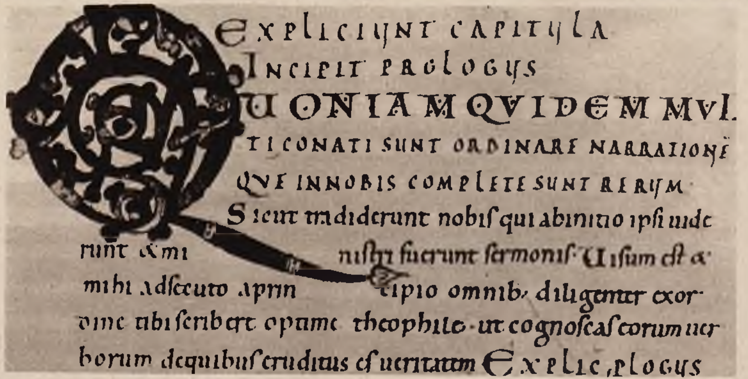
Od czasu jak istnieje ludzkość cywilizowana, daje się zauważyć dążność do zaoszczędzenia czasu i ułatwienia sobie pracy. Te więc względy grały rolę w tak ważnej dziedzinie życia, jaką jest pismo, będące głównym środkiem do utrwalania ludzkiej myśli i czynu.

Pierwsze widoczne próby skrócenia pisma ukazują się w Grecji starożytnej, wraz z rozwojem życia publicznego. Starano się bowiem „doścignąć“ żywe słowo, odgrywające tam znaczną rolę w przemówieniach na zgromadzeniach ludowych. Początkowo uciekano się do t. zw. „ligatur“, powstałych przez zjednoczenie kilku po sobie następujących w wyrazie liter. Później używano też skrótów (öbreviatio), polegających na opuszczaniu poszczególnych liter. Sztukę owego skróconego pisma zwano w Grecji „tachygrafją“, w związku z czem wytworzył się zawód t. zw. tachygrafów lub semepografów, czyli szybkopisarzy. O należytem ocenianiu owej sztuki w tych czasach świadczy fakt, że praca ich była bardzo dobrze wynagradzana.

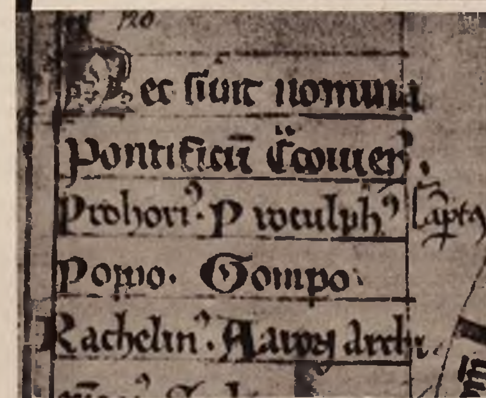
W Rzymie zaś w okresie jego największego rozkwitu politycznego, kiedy sale senatu rozbrzmiewały głosami mowców, takich jak Cicero i inni, wysunęła się potrzeba jaknajszybszego i jaknajdokładniejszego notowania ich, by rychło dostać się mogły do wiadomości szerokich mas obywateli, oczekujących niecierpliwie na forum. Tutaj też na gruncie rzymskim powstało pismo skrócone dziś zwane stenografją (po grecku stenos — ścisły, grafo — piszę). Zanim ujęte ono zostało w pewien system, znali już Rzymianie t. zw. sygle czyli skróty imion własnych n. p. Caius pisano: C., Cneius: C., N., oraz nazw urzędów, n. p. słowo consul skracano: Cos. Jeżeli chodzi o określenie większej ilości osób lub o zaznaczenie liczby mnogiej, wtedy podwajano lub potrajano ostatnie litery skrótu, n. p. imperatores: IMPP., rodzaj żeński lub męski oznaczano tylko przez odwrócenie litery, n. p. filius (syn) = F, filia (córka) = Ⅎ. Caius: C, Caia: Ɔ przy zejściu się dwóch wyrazów, n. p. „populusque“ pisano: PQ. Po skróconym wyrazie kładziono kropkę, dopiero od II w. zastąpi ją umieszczona nad skrótem kreseczka.

W pewien system ujął i wymyślił nowe znaki M. Tullius Tiro, wyzwoleniec Cicerona, który po raz pierwszy stenografował jego słynne mowy przeciwko Katylinie, wygłoszone w sposób niezwykle gwałtowny, w tempie niesłychanie szybkiem. Znaki przez niego wprowadzone zostały nazwane „notami Tyrońskiemi“, a nie będąc dowolnie wymyślonemi znaczkami, polegały na pisaniu tylko cząstek liter kursywnych lub majuskulnych, n. p. literę a pisano tak ^ później / lub \

Sztuki tej uczono w szkołach rzymskich, co uważano za wyższy stopień wykształcenia. Biegłych w tem piśmie zwano notarjuszami. Towarzyli oni mowcom w senacie, oraz sporządzali także sprawozdania z przebiegu ważniejszych procesów. Zawód ten był udziałem nie tylko mężczyzn, ale także i kobiet. Na uwagę zasługuje również fakt, że cesarz Tytus uprawiał stenografję z zamiłowaniem, tak dalece, że przeszła u niego już w manjactwo, stenografował bowiem prawie bez przerwy wszystko, a więc własne myśli, oraz toczące się koło niego rozmowy otoczenia, traktujące często o rzeczach zupełnie banalnych. Oprócz wymienionych elementów głównych znaki tyrońskie posługiwały się jeszcze szeregiem kropek, przecinków na oznaczenie różnych końcówek. N. p. kropka nad ḃ oznacza końcówkę bat, a kropka pod ḅ oznacza bant. Noty te zczasem rosły pod względem ilości, ulepszano je też coraz więcej. Zasłużonym na tem polu kontynuatorem pracy Tirona, był Aquila, wyzwoleniec sławnego Mecenasa, a około 5.000 tych znaków wraz z komentarzami zebrał i wydał L. Anneus Seneka.


EXPLICIUNT CAPITULA
INCIPIT PROLOGUS
QUONIAM QUIDEM MUL
TI CONATI SUNT ORDINARE NARRATIONE
QUE IN NOBIS COMPLETE SUNT RERUM
Sicut tradiderunt nobis qui ab initio ipsi vide
runt et mi nistri fuerunt sermonis visum est et
mihi adsecuto a prin cipio omnib. diligenter ex or
dine tibi scribere optime theophile ut cognoscas eorum ver
borum de quibus eruditus es veritatem EXPLIC PROLOGUS

Na prawo: Pismo kodeksowe, którem pisano książki. Widoczne są skróty zastępujące całe słowa jak „omnibus“ i inne.


Hec sunt nomina
Pontificu Cracouien
Prohori · P roculph
Popo · Gompo
Racheln · Aaron archi

Poniżej: Fragment katalogu biskupów krakowskich. W drugim wierszu ciekawy skrót słowa „cracoviensis“

Gdy po upadku państwa rzymskiego, nastał porządek średniowieczny, wraz z którym rozwinęły się kancelarje, wygotowujące szereg dokumentów, okazała się potrzeba używania skrótów, nie zpowodu zaoszczędzenia czasu, gdyż życie średniowieczne toczyło się w tempie dość wolnem, lecz z przyczyn innych, a to dla zaoszczędzenia bardzo drogiego i cennego wówczas materjału pisarskiego, jakim był pergamin. Nie wystarczyło zeskrobywanie jednych tekstów, by na oczyszczonym pergaminie móc pisać po raz wtóry, lecz należało pisać jaknajoszczędniej, co pociągnęło za sobą stosowanie szeregu wystemów t. zw. brachygraficznych, do których też częściowo przeszły niektóre noty tyrońskie, n. p. znak na wyraz eius: 3 który jest rodzajem odwróconego e mujalnego, znak na esse: =, est: —, et: 7, cum: 9

Istniały zasadniczo cztery sposoby skracania wyrazów. Pierwszym był skrót zwany obbrevatio per suspensionem (skrót przez zawieszenie), gdzie pierwsze litery wyrazu zastępują cały wyraz, n. p. id est, pisano: i. e., anno domini: a. d. Czasem skrócenie mogło być oznaczone kreseczką u góry, sunt: s̄, tamen: tam̄. Drugi system, to skrót przez ściągnięcie, polegający na zaznaczeniu pierwszej i ostatniej litery wyrazu (obbreviatio per condractionem), n. p. „tamten: tn̄. esse: ee“. Istniały też skróty nieregularne, jeżeli pozostawiano jeszcze kilka liter środkowych, np. lrā: — littera, ecc̄la: — ecclesia. Trzeci sposób posługiwał się specjalnym znakiem, zastępującym pewną literę (obbreviatio per signum abbseviationis). Znaków takich było kilka, kreska pozioma oznaczała opuszczenie litery m lub n, np. „enim: ēm“, opuszczenie litery r, oznaczał wężyk np. certus: „c^tus, terra: t^ra“. Opuszczenie ra lub ar, określał wężyk poziomy, np. Cracovia: Cc̃ovia, okrągłe r: ꝝ stanowiło znak na rum, np. earum: ea ꝝ. Dziewiątka umieszczona nad wierszem, jako końcówka oznaczała us, jeżeli napisaną jest niżej oznaczała con i cum, np. 9tra: contra, circus: circ.9 Wężyk lub dwójka nadpisane nad wyrazem zastępowały końcówkę ur, tur, np. datur: dat2, lub dat ~ Litery p i q otrzymywały rozmaite znaczenie, zależnie od położenia znajdującej się na nich kreski, np. p: per, par, p̄: pro, ꝓ: pro, q: qui, q: que, q: quod. Pozostały również niektóre znaki tyrońskie, jak skrót na est: ÷ , et: 7. Tam zaś, gdzie tkwiła litera nadpisana, np. gratia: g^atia, tria: t^a.

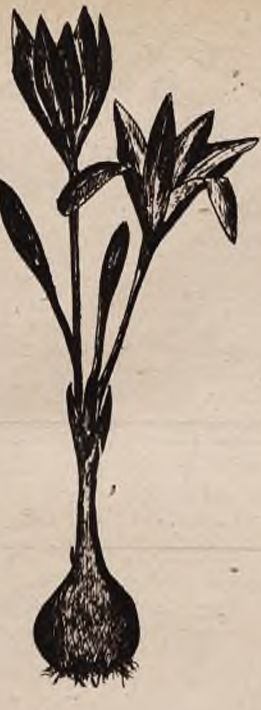
System brachygraficzny średniowieczny utrzymał się przez lat trzysta, stanowiąc w swoim rodzaju stenografję, wielce charakterystryczną, będącą dziś działem badań naukowych historycznych t. zw. paleografji. Badaiia te, zmierzające do odczytania dokumentów, będących najważniejszym źródłem do historji średniowiecznej, wyjaśniają mroki owego pisma, a zarazem rzucają światło na ówczesne dzieje.

Tak jak w świecie starożytnym, tak i w czasach nowożytnych stosunki polityczne wycisną swe piętno na dalszym rozwoju i losach stenografji. Pierwszym krajem, który wraz z gwałtownym rozwojem życia parlamentarnego w w. XVII odczuł potrzebę owego pisma, była Anglja, w następnem stuleciu pójdzie za nią wraz z wybuchem rewolucji Francja, gdzie musiał być notowany przebieg posiedzeń Zgromadzenia Narodowego. Tworzy się szereg najrozmaitszych systemów, z których na uwagę zasługuje system niemiecki Franciszka Ksawerego Gabelsbergera (ur. 1789, † 1840), przełożony na język polski przez Józefa Polińskiego, zasłużonego na tem polu pracownika, który oddał dla rozwoju nowoczesnej ulepszonej stenografji wielkie usługi, prowadząc sejmowe biuro stenograficzne we Lwowie w r. 1871—1875.

Od tego czasu dążenia zmierzają coraz to więcej do ulepszenia stenografji w myśl maksymy, że czas to pieniądz!

Mgr. Anna Nichthauser.

Rośliny przepowiadają pogodę



Na lewo: Zimowit jesienny.

Poniżej: Kwiat szafranu niezwykle czuły jest na zmiany temperatury, a przy jej obniżeniu zamyka się.



W roku 1847 udało się uczonemu Vidi skonstruować pierwszy barometr metalowy. Była to bardzo prymitywna puszka metalowa, nie odznaczająca się zbytnią czułością na zmiany atmosferyczne. Owczesnym jednak ludziom wydawała się niezwykłym wynalazkiem. W 30 lat potem pojawiły się pierwsze tak od niedawna popularne domki z figurkami, przepowiadającemi pogodę. Na deszcz z domku wysuwała się pani z parasolem, a na pogodę wybiegała wiośniana, strojna dziewczyna. Każdy szanujący się mieszczuch nabywał taki domek i ściśle stosował się do wskazówek, udzielanych przez poruszające się figurynki.

Problem przepowiadania pogody nie był obcy starożytnym cywilizacjom i już Grecy badali to zagadnienie, przypuszczając trafnie, że ciśnienie słupa powietrza może dać pewne dane do przepowiadania pogody. Na tysiące lat przedtem ktoś jenak znacznie prościej rozwinął to zagadnienie: tym mistrzem była sama przyroda. W przyrodzie spotykamy dużo roślin, które jak najczulsze barometry przepowiadają najmniejszą zmianę pogody. Jak ślimak przyjmuje inną barwę na zmianę pogody, tak roślina, przeczuwając deszcz, zwija swe liście, lub zamyka kielich kwiatowy. Zjawisko to spotykamy przeważnie u roślin owado- i wiatropylnych, które zamykają swe kielichy, by pyłek ochronić przed zmoczeniem. Człowiek obcujący z przyrodą, nauczył się podpatrywać rośliny i wykorzystywać ich mądrość dla swych celów. Mimo jednak znacznego postępu nauk przyrodniczych, nie udało się człowiekowi odgadnąć, w jaki sposób u roślin przebiega cały proces reagowania na zmiany pogody. Udało się tylko ustalić bezpośrednie przyczyny ruchów roślin, przyczem ruchy te podzielono na trzy grupy. Grupy te obejmują więc zamykanie i otwieranie kwiatów, łapanie owadów u roślin owadożernych, owijanie się koło tyczek, światło- i ziemiozwrotność itd. Najważniejsze z tych ruchów, to: ruchy higroskopijne, polegające na tem, że błony komórkowe przy zwilżeniu rozszerzają się a przy wysychaniu kurczą, powodując wygięcia, a następnie samodzielne ruchy zmienne. Polegają one również na zmianie jędrności, ale w ściśle określonych miejscach. Ruchy te właściwie są niektórym liściom, które u nasady posiadają t. zw. poduszeczki stawowe. Poduszeczki te kurczą się i rozszerzają pod wpływem zmian jędrności i powodują ruchy liści.

Warto też wspomnieć o ruchach wzrostowych, polegających na tem, że jedna strona liścia, łodygi czy płatka kwiatowego rośnie szybciej, powodując wygięcie. Wzrost taki odbywa się czasem tak szybko, że ruch można naocznie zaobserwować. Są to jednak tylko bezpośrednie przyczyny, powodujące zmianę położenia rośliny. Procesów poprzedzających tę widoczną reakcję zupełnie nieznamy. Ośrodkiem odbierającym wszelkie bodźce zewnętrzne jest niewątpliwie plazma i ona też powoduje dalszy rozwój podrażnienia aż do wywołania widocznej zmiany położenia. Jak jednak ten proces przebiega, nie wiemy. Wiemy, że kielich kwiatowy w oczekiwaniu deszczu lub z nadejściem nocy zamyka się, bo płatki korony szybko rosną ze strony zewnętrznej i powodują wygięcie płatków aż do zupełnego zamknięcia kielicha. Dlaczego jednak następuje ten szybki wzrost? Jak roślina potrafi przewidzieć niepogodę? Oto pytania, na które nie mamy jeszcze odpowiedzi. Bodźcami wywołującemi zmiany położenia liści czy kwiatów są u jednych roślin wahanie temperatury, naświetlenia, czy wreszcie zmiany ciśnienia barometrycznego. Rośliny czułe na zmiany barometryczne są oczywiście najlepszemi meteorologami i ich przepowiednie są najbardziej nieomylne. Do tych należą pospolita roślina jednoroczna kurzyślad polny (Anagallis arvensis), kwitnąca od czerwca do pajdziernika, do niedawna uważana za jedyne lekarstwo przeciw wściekliźnie. Roślina ta nie otwiera po nocy kielicha jeżeli ma być deszcz i przez cały dzień pozostaje zamknięta. Podobnie zachowuje się biedrzeniec pospolity, który zamyka swe drobne kwiatki, oczekując deszczu i przepowiada w ten sposób pogodę na 12—24 godz. Biedrzonek mleczny, ozdabiający łąki białemi swemi kulkami, zachowuje kształt okrągły tylko wtedy, gdy pogoda jest stała. Z chwilą zbliżającego się deszczu ściąga niteczki i tworzy małą miotełkę. Groch meksykański podnosi listki na pogodę, a opuszcza je, przeczuwając słotę. Odznacza się przytem wielką wrażliwością i potrafi wyczuć zmianę na 24—30 godz. w promieniu paru mil. Pospolity kasztan przy stałej pogodzie trzyma swe liście równo rozpostarte, a przy zbliżającym się deszczu kurczy się i ściąga. Obok grupy roślin wrażliwych na zmiany barometryczne istnieje dużo roślin wrażliwych na zmiany temperatury i siły światła słonecznego. Spadek, czy też zwyżka temperatury, rozjaśnienie, czy zachmurzenie nieba wywołuje u tych roślin pewne ruchy, jak zamykanie kielichów kwiatowych lub ruchy liści. Ponieważ jednak zmiany temperatury i oświetlenia nie zawsze są równoznaczne ze zmianą pogody, przeto i przepowiedne tych roślin nie zawsze są trafne. Z tej grupy roślin ciekawym jest wahadlik (Desmodium gyrans), którego boczne listki zakreślają wydłużone elipsy. Kwiaty tulipanu, zimowita, miłka i szafranu okazują przy podwyższeniu temperatury gwałtowne przyspieszenie wzrostu po stronie zewnętrznej, co powoduje otwieranie się kwiatu. Odwrotnie, przy spadku temperatury kwiat zamyka się. Szczególną wrażliwość na zmiany temperatury okazuje szafran i tulipan. Kwiaty tych roślin, zamknięte przy niskiej temperaturze i przeniesione do cieplejszego otoczenia o różnicy 1—5° C., otwierają kielichy kwiatowe w ciągu niespełna 4 minut. Kwiaty szafranu są tak czułe, że reagują już na różnice $1/2^0$ C. Również rozjaśnienie lub zachmurzenie nieba działa na niektóre rośliny, jak przybienie, kaktusy i niektóre złożone, które przy rozjaśnieniu światła otwierają swe kwiaty, a zamykają przy ściemnieniu. Natężenie światła działa też i hamująco na ruchy. Tak np. liście koniczyny wykonują w nocy pewne ruchy, które w dzień pod wpływem światła zupełnie ustają. Również w nocy otwierają się kwiaty roślin zapylanych przez ćmy (np. z gatunku Silene noctiflora) i czynią Człowiek, chociaż tworzy nowe wynalazki, często ze wstydem spostrzega, że dzieło jego to tylko nieudolne naśladownictwo czegoś, co już dawno przed miljonami lat stworzyła przyroda.

Inż. Władysław Müller.



Boczne listki wahadlika wykonują przy wyższej temperaturze (30—35 st. C.) szybkie ruchy.



Od lewej: Przeczuwając deszcz kurzyślad polny nie otwiera kielichów po nocy i pozostaje zamknięty przez cały dzień. — Wrażliwość na wilgotność powietrza obrazuje nam owocek: na prawo skręcony przy suchem powietrzu, w środku wyprostowany przy normalnej wilgotności.



Kwiat gatunku Leontodon hastilis. Na lewo zamknięty z powodu zachmurzenia, na prawo otwarty przy pogodzie.



MĘDRCA SZKIEŁKO I...



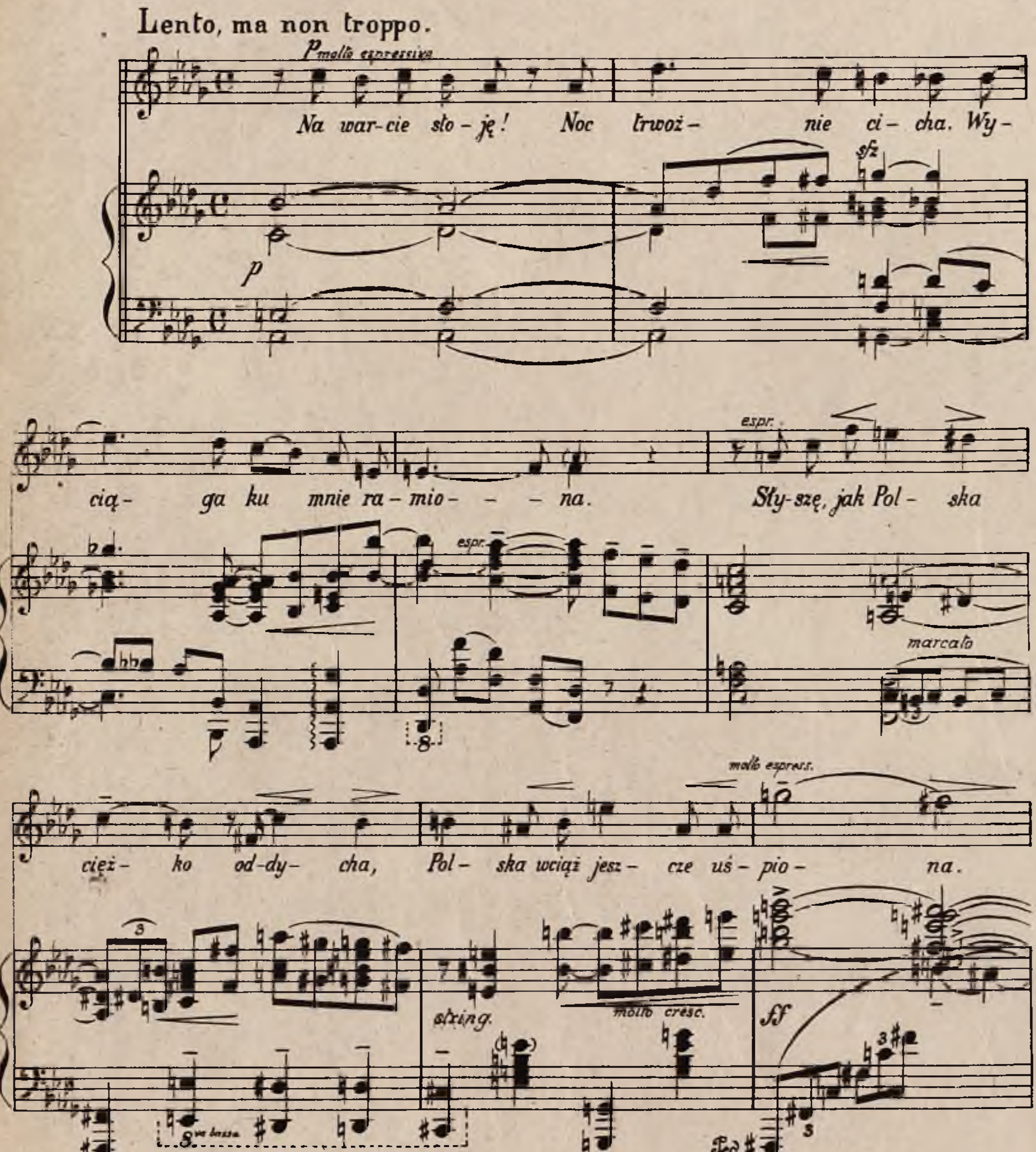
„DZIEWCZĘCE OCZY

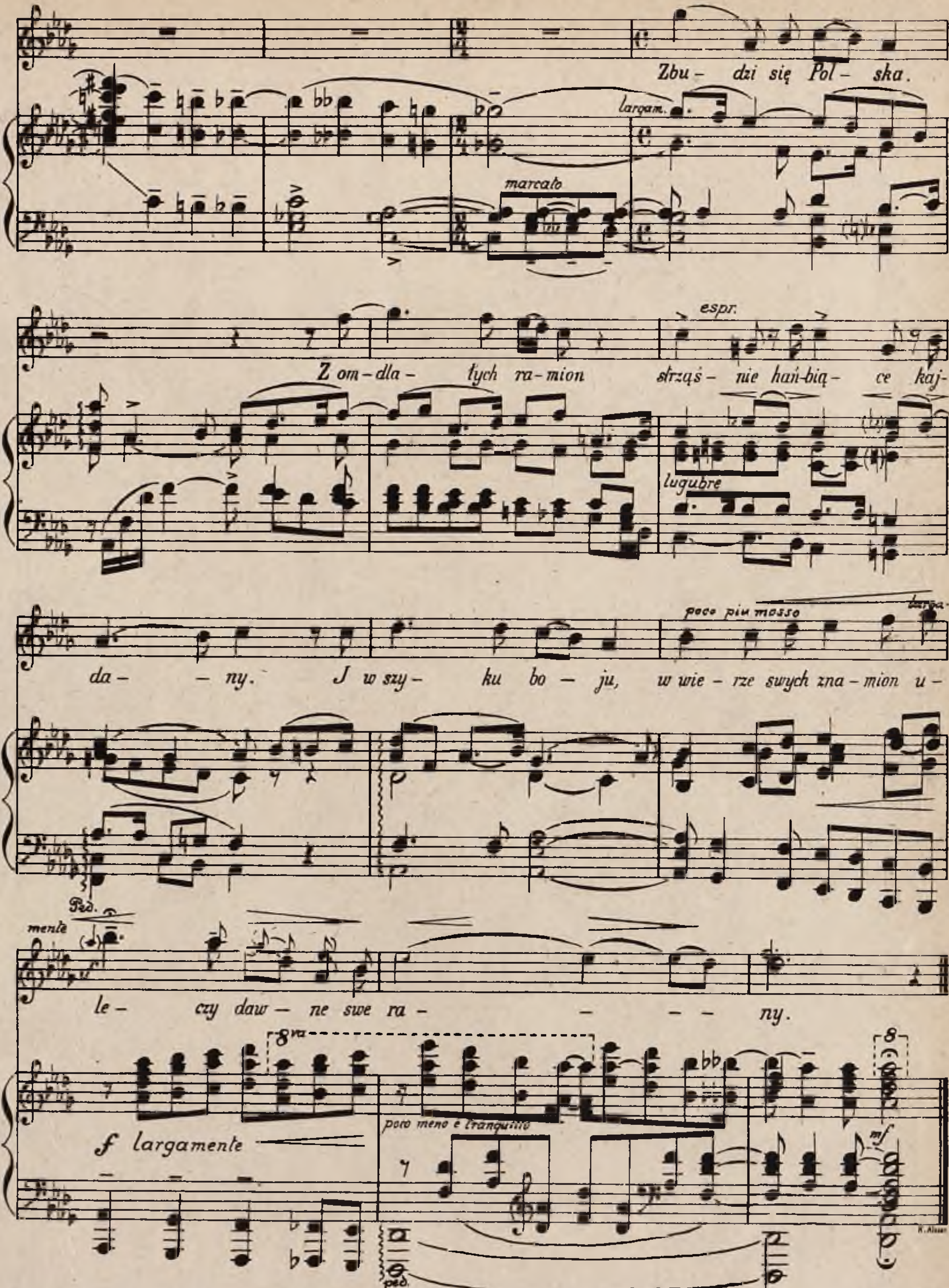
PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

NA WARCIE

Pieśń żołnierska z 1914 r.
(wspomnienie)

Muzyka:
STANISŁAW LIPSKI
(1918).





ARTUR GROTTGER

WSPOMNIENIE

F. M. AREN



PRZEŁOŻYŁ
WITOLD RYBCZYŃSKI

Bo w świecie ducha – niema pożegnania.

8-my ODCINEK.

Dobrze się stało, że nie znalazłem się na dworcu, nieprawdaż?

Na to pytanie proszę mi odpowiedzieć.

— — — — — — — — —

Właśnie wpadła do atelier z wrzawą i hałasem cała zgraja przyjaciół i znajomych. Nie sposób pisać dalej, więc kończę. Proszę położyć mały paluszek lewej rączki na tem kółeczku O, gdyż na nim położyłem gorący, czuły pocałunek.

Arthur.

P. S. Pośród mych listów znalazłem jeden, który pisałem przed dwoma laty, pod adressą „Babci" dla łaskawego doręczenia. Ponieważ go nie wysłałem, a to z powodu spóźnienia, ani nie podarłem, ani spaliłem — posyłam go właścicielce wedle słuszności i prawa.

IX.

Tak myślał, tak czuł, tak pisał Artur Grottger! A ja? — ja?

Noc panowała wówczas w sercu mojem i oślepła dusza moja. Opętało mię Złe, Demon zagnieździł się we mnie. Zamglony stał się mój wzrok, światła pogasły na niebie. Jak cień snułam się, wkoło przyziemne czołgały się myśli. Co wzniosłe, umknęło przedemną; wszelkie ideały legły złamane, przestały być celem, nie odczuwałam ich. Genjusz zniżył pochodnię i ogarnęły mię ciemności. Czy mogłam, czy zdołałam była zrozumieć listy Grottgera? Czy potrafiłam odpowiadać mu tak, jak on do mnie pisał?

Nie, nie, tak odpowiadać mu nie mogłam, przecież zaledwie go zrozumiałam. Zapewne, wolałam go nie rozumieć, nie przeczuwać tego, co ukrywał, i nie odsłaniać tego, co w sobie piastował. Czytałam, odgadnąć go jednak nie mogłam. Czytałam — ale bez echa, odpowiadałam mu — ale bez odzewu. Co drgało we mnie, było już tylko oddźwiękiem straconego raju. Cherubin przemawiał do mnie, lecz szatan czuwał u mego boku. Ukryłam głowę, by nie słuchać głosu upomnienia. Zew przebrzmiał, pozostała... ziemia.

Pomiędzy nas wmieszało się życie. Równo i jednostajnie potoczyły się w wieczystym wirze dnie, miesiące i lata... i rozprószyły nas w różne strony, przez różne pędząc szlaki, z początku obok siebie, chociaż nie wiedzieliśmy o tem, by nas następnie rozdzielić na wieki.

Imię jego rosło, lecz siły malały. I prawie jedną rozgłośną falą przeszły przez Europę jego największa sława i najcięższa po nim żałoba. Wędrówkę w „dolinę łez" zakończył zgonem.

We Francji, za którą tęsknił i którą sobie wywalczył, danem mu było nagłym rozgorzeć płomieniem... i zgasnąć.

Lecz ojczyzna nie opuściła go. Polska przejęła jego szczątki, Węgry przechowują szczyty jego ducha, a cała Austrja, świat cały, posiada perły jego genjuszu.

W polskiem mieście ma powstać pomnik jego, a tam, w węgierskim Zamku Królewskim duch jego promieniuje oddawna.

Tam wśród niw, na szerokiej równinie, wyłania się park zielony. Rozległe polany i wysokie drzewa, a wewnątrz w zacisznem ukryciu, o smukłych wieżycach i wyniosłym dachu, na poły obrosły zielenią, zamek w Gödöllö.

Nad szerokiemi schodami, na lewo od wyniosłej sali, znajdują się pokoje cesarza. Bez przepychu, w ciemnym utrzymane tonie — brunatne drzewo, obicia i ściany — proste, zaciszne, wygodne a skromne, dziełami sztuki ozdobne.

Szerokie, złocone ramy obrazów błyszczą w salonie, ciemne, poważne, głęboko rzeźbione zdobią gabinet cesarza.

Tutaj, gdzie król Węgier, a cesarz Austrji przy wielkiem biurku pod oknem pracuje, snując plany i zamysły, zaprasza Muza artystę, by wstąpił za nią w „dolinę łez". Schodzi więc poprzez straszliwe cierpienie wojny i u jej boku przygląda się boleści i zagładzie.

I oto rozwija się obraz nędzy i niedoli; zew trąbki rozrywa złamane serca, szaleje walka i śmierć, głód i niedostatek, pożary i zgliszcza, rabunki i morderstwa.... i tak aż do końca. Zgroza, zamęt, zniszczenie, szał, trwoga i łzy. Jeden obraz za drugim, jeden bardziej wstrząsający niż drugi, niby ponury pierścień, co zaczarowanym kręgiem komnatę monarchy otoczył.

A cesarz Austrji jednem spojrzeniem ogarnia te tchnące prawdą straszliwą symbole, dzieło ręki... Artura Grottgera.

Czyż w czasie, gdy artysta tworzył te obrazy nie szalała na polach naszych wojna 1866 roku? Czyż lata 1863 i 1866 nie musiały zbudzić w jego duszy najgłębszej boleści, którą objawił w jednym potężnym okrzyku człowieka do Boga, okrzyku Ojczyzny do serca ludzkości.

Tak, bez wątpienia, to właśnie było, co kazała mu stworzyć „Wędrówkę w dolinę łez" i co stało się nicią sympatji, łączącą duszę artysty ze sercem cesarza, co wzruszyło monarchę do głębi i skłoniło go do zakupna obrazów oraz otoczenia się niemi tu właśnie, gdzie ani świetne uroczystości, ani zgiełk zewnętrzny dostępu nie miały, gdzie książę tak wiele i tak ciężko doświadczony, jest sam na sam ze sobą i swojemi myślami.

A gdy zawiśnie groźba, że furje niezgody zapalą na nowo pochodnię zniszczenia, wówczas cesarz spogląda w swe serce i na obrazy wokół rozwieszone, a jego umysł poddaje słowo: p o k ó j.

ZAKOŃCZENIE.

Towarzyszyłam ci, drogi przyjacielu, od twego początku aż do twego końca. Nie systematycznie, ani wedle zgóry ułożonego planu. Tak tylko, jak przeżywaliśmy, i jak ja to odczuwałam.

Patrzyłam na ciebie, jak wznosiłeś się od twej jutrzenki aż do południa. Wieczora nie miałeś. Na sali tanecznej poznaliśmy się i na tanecznej sali nastąpiło nasze rozstanie. A jednak patrz, dusza moja towarzyszyła ci od wstrząsających mroków warszawskich kościołów, poprzez całą Golgotę Polaków, aż na pola „Wojny" ostatniej ducha twego wędrówki, która znalazła kres swój w komnacie królewskiego zamku.

Tam strzegą cię wiernie; tam mieszkasz wspaniale, o Ty, duchu mego Przyjaciela! Tworzyłeś dla serca ludzkości, a król odczuł jego bicie. Pojąwszy sztukę za swą przewodniczkę, monarchy stałeś się tłumaczem. Cóż wznioślejszego zapragnąć mogłeś, cóż piękniejszego osiągnąć? Odszedłeś — dokonawszy dzieła twego życia. Rylec, który cesarza poucza, musi wypaść z dłoni śmiertelnika!

DODATEK.

Jako spuścizna po Grottgerze pozostał jego szkicownik. H. O. Miethke, wypróbowany przyjaciel i nakładca zmarłego, zebrał te karty, by je, niby wpomnień kwiaty, rozsypać na grobie artysty.

Subtelna ręka je ułożyła, przystroiwszy w rymy i prozę. Cóż dodać jeszcze? Cóż znaczą słowa wobec jedynego obrazu Grottgera?

Szkicownik jest drogim skarbem dla wszystkich, którzy znali artystę, a zwłaszcza znajdujący się tam autoportret, tak wiele mówiący i charakterystyczny. Czyż istnieje chociażby jeden portret własny (wyjąwszy autoportret Rembrandta, trzymającego żonę na kolanach) tak żywy, tak naturalny, z taką lekkością rysowany i z taką doskonałą znajomością własnej indywidualności? Podwójną naturę: człowieka i artysty-genjusza, oddano z taką prawdą i podobieństwem, jak to rzadko najlepsze zwierciadło uczynić może. Ręka, oko i duch pracowały tu z zadziwiającą harmonją.

Nie tylko ta karta, lecz wszystkie portrety i studja są oddane z nieprzeciętną oryginalnością, i niejedna piękna główka kobieca ku nam spoziera. Świetny rysownik i indywidualista musiał tworzyć równie doskonałe olejne portrety, czego dowodzą podobizny magnatów polskich n. p. książąt Adama i Jerzego Czartoryskich. Ostatni posiada kilka wartościowych malowideł artysty, jakkolwiek, mimo wszystko, jego pędzel z kredką czy ołówkiem równać się nie może. (Niektórzy członkowie „Familji" oraz rodzin Działyńskich i Zamojskich, posiadający poczucie piękna, podniecali i zachęcali młodego polskiego malarza, czem poparli pierwsze jego kroki i ułatwili pączkom rozwinięcie się w kwiaty).

„Córki króla Popiela", to idealne przedstawienie dwóch hożych dziewczęcych postaci. Nic bardziej niewinnego, niż to dziewczę, zasłoną z gazy zaledwie okryte, nic milszego, niż jej młoda zachwycająca siostra, która, ścigana przez motyla, jagniątko schwytać usiłuje.

„Bajek" jest dwie. Ta sama, zda się, myśl w dwojakiej wyrażona formie. Zarówno obrazek wykończony kredką, jak i drugi, zaledwie naszkicowany ołówkiem, doskonale oddają postaci opowiadających kobiet i dziecięcych słuchaczy. Na ich twarzyczkach odmalowuje się charakterystyczna groza pod wpływem strachów, występujących w baśni.

Dwa niezrównane rysunki: „Bóg i Ojczyzna"[1]) porywają idealną poezją uduchowionego dziecięctwa, Anioł o obliczu, wyrażającem niebiańskie zachwycenie, chłopiec, śpiewający z niezachwianą wiarą i w bezgranicznem uniesieniu, czcigodna twarz starca, grającego na organach, — to świetne symbole głębokiego uczucia.

Inne kartony szkicownika mogą się indywidualnie mniej lub więcej podobać.

Rycinom religijnym czegoś nie dostaje. Tu brakło płochemu światowcowi odczucia abstrakcji i „nazarenizmu". To też lawirował pomiędzy „szkołą" a sobą. Jakkolwiek był mistrzem w przedstawianiu ludzkiej pobożności i ludzkiego wzruszenia (jak wyraźnie słyszymy, patrząc na wyżej wspomniany rysunek, niebiańskie pienia chłopca i anioła i jak czujemy się uniesieni na skrzydłach wiary), obrazów „Chrystus" i „Madonna" nie sposób uważać za udałe. Za wiele szorstkości w „Ecce Homo". Wyraz twarzy głęboko poważny i odpowiedni, a jednak obraz, jako całość nie zadowala, a raczej odpycha.

„Mater Dolorosa" jest próbą z bardzo wczesnej młodości. Nie boleści to obraz, lecz afektacji. Widocznie artysta, genjalny odtwórca bolu, rysował go pod wpływem zewnętrznym, a nie z własnej głębi.

Natomiast świetnie odczute są trzy obrazy, przedstawiające Boże Narodzenie, z których trzeci, czysto świecki, z udatnemi typami młodych polskich wieśniaków, jest wyśmienity. Wogóle Grottger po mistrzowsku przedstawiał polskie typy, tak męskie jak kobiece, dzięki czemu, a nie tylko z racji swego pochodzenia, zasługuje na miano „polskiego malarza".

Wybitnie narodowym jest Polak na klęczkach, modlący się przed walką (karton VII, dział II). Miecz wetknął w ziemię, gdyż pragnie bez broni ukorzyć się przed figurą Boską, tak jednak, by móc każdej chwili pochwycić za oręż. Tytuł „Przed pojedynkiem" nie wydaje mi się odpowiedni. Żaden mężczyzna na świecie nie będzie się modlił z taką żarliwością przed pojedynkiem, którego sam w większym lub mniejszym stopniu jest przyczyną, lecz wystąpi odważnie, z całą świadomością wyzywając los do walki. A to poddanie się Woli Boskiej, to skupienie się wśród westchnień, to uniżone, pełne wyrzeczenia się otwarcie swego serca, by je ofiarować Bogu i Ojczyźnie, może być modlitwą tego jedynie, kogo ścigają i tropią, kto wie, że ulegnie przemocy. Potwierdzają to jeźdźcy, pędzący na drugim planie, którzy po przeszukaniu domostwa i podwórza zbliżają się, by go schwytać żywym czy umarłym. Już, już w najbliższej chwili porwie się z klęczek, pochwyci miecz, by z odsłoniętą piersią przeciwstawić się swym prześladowcom. A może ta postać samotna, pod wolnym niebem klęcząca, tylko Boga mająca nad sobą a w sercu męstwo i nadzieję, dzierżąca jako jedyną obronę do walki z przytłaczającą przewagą wrogów, na rosłych rumakach, w ciężką okutych zbroję — ma przedstawiać całą Polskę? Może to alegorja polityczna Polski i Rosji; a „Pojedynek" należy rozumieć tak, jak to przedstawiają pokrewne treścią obrazy, będące własnością Czartoryskiego? Na nich po modlitwie następuje prawdziwy pojedynek Polaka z Rosjaninem. Najpierw dzielnie zmagają się, uderzając na siebie z równą siłą i gwałtownością, a wkońcu obaj padają, otrzymawszy śmiertelne rany. Co miał na myśli młody malarz, przedstawiając na następnym obrazie Polaka i Rosjanina, rozciągniętych na ziemi, w obliczu śmierci pogodzonych ze sobą, jak o tem świadczą złączone uściskiem ręce? Miałoż to oznaczać walkę aż do ostatecznej zagłady, a potem dopiero pojednanie? A tymczasem dziś Polska dźwiga krzyż rosyjski przez beznadziejne tajgi swego istnienia, a nie tylko przez Sybir, jak to jeden z rysunków szkicownika przedstawia.

Ponad tem wszystkiem, niby gigantyczna wizja przyszłości, wznosi się olbrzymi posąg Słowiańszczyzny. Jeszcze zamglone jej kształty, pracowicie wykuwane przez wszystkie słowiańskie narody. Jest to przygodny rysunek z roku 1865[2]). Czyżby Grottger pojmował go na serjo? Czyżby jego szczere narodowe poczucie polskości przekształciło się w tytaniczną koncepcję panslawizmu, państwa przyszłości, w którego łonie nastąpi zgoda pomiędzy Polską a Rosją? Czyżby proroczy duch jego przewidział walki i pomysły z r. 1877? Oto na skalnym cokole, na który Hercegowińczyk z trudem wyciąga Bośniaka[3]), wznosi się posąg Słowiańszczyzny, niby widmo o olbrzymich, jeszcze niewyraźnych kształtach. Jej stopy wykuwa Dalmatyniec, obok stoi Kroat ze wzniesioną głową, Słoweniec ze Słowakiem pracują w zawody, Czech rzeźbi żarliwie głowę, tuż przy sercu siedzi Polak, opatrując swe rany, podczas gdy Rosjanin, rzeźki i butny, naczelne, zda się, objął kierownictwo.

Tak, oto jest wierny obraz obecnego położenia. Znamienne, że ręka, która tak po mistrzowsku, we wszystkich odcieniach odtworzyła niedolę Polaków, podaje nam jako szkic ostatni: o czem marzy Rosja.

Człowiek-genjusz, to proroczy
duch na wieczności arenie.
W nieskończoność wieków kroczy,
chociaż żyje... oka mgnienie.

KONIEC.

---

[1]) „U grobowca Kościuszki" i na „Na chórze" p. tł.

[2]) Szkic do obrazu, wykonanego na inaugurację klubu słowiańskiego we Wiedniu, na której Grottger przemawiał w te słowa: Bądźcie, bracia, przekonani, że my Polacy nie wyprzemy się naszej wspólnej Matki; a skoro nasze świeże rany zagoją się, podamy sobie bratnie ręce do pracy nad wspólnem dobrem i wspólną przyszłością p. tł.

[3]) raczej Serb Bułgara p. tł.

Dokończenie z str. 10-ej

ny jakąbym mógł dać za twój królewski dar. Ale stokroć większy był dar twego serca. Czuję się nieomal jak dziecię, które przystępuje po raz pierwszy do konfesjonału. Chciałbym całe moje życie przed tobą obnażyć i wykazać moje winy i grzechy. Nikogo nigdy nie kochałem tak, jak Ciebie, carissim. Ty jedna zdołałaś przykuć na zawsze zmienne serce, pełne niepokoju i poszukujące ciągle nowych wrażeń serce moje. Przykułaś je twoją dobrocią, szlachetnością i mądrością. Rozstając się z bólem z Twoim obrazem, pocieszam się myślą, że jest to jedyne w mem życiu uczucie, które nie zniknie, któremu ani czas ani okoliczności odebrać nie mogą jego świeżości i smaku. Gdyż nasza miłość, która nie znała rozkoszy, pozostanie trwałą, gdyż jest nierealną. Nie podlega prawom ludzkim, gdyż ma w sobie cechy boskości. Twoje szmaragdy księżna zdają się mi być jakby symbolem naszego uczucia, gdyż mędrcy Wschodu twierdzą, iż kamień ten uniemożliwia zīszczenie się miłości. W myśli do twych stóp się ścielę i błogosławię. Giacomo Casanova".

Henryk Duprat skończył czytać. Trzymał list w drżącej ręce. Bał się przemówić, aby czar chwili nie prysł bezpowrotnie. Szmaragdy! One zerwały jego miłość do Nicole, jak ongiś rozłączyły dwa serca, które już nigdy nie zbliżyły się do siebie!

— Oto tajemnica księżnej de Marcellanges i Giacoma Casanovy. Umarła ona wkrótce w naszym domu. W pokoju jej zainstalowano od kilkunastu lat kuchnię jednego z mieszkań. Mówiono wtedy, że umarła ze zgryzoty; dziś medycyna zapewne lepiej by określiła jej chorobę. Ale to wszystko zresztą jedno!

Zamyślony nad dziwnemi losami życia ludzkiego wracał tego wieczora Henryk Duprat, historyk i nieszczęśliwy kochanek Nicole Brézy do swego hotelu.



kostjum, uzbroi się w rakietę i paraduje przez ulice miasta. Dlatego, że to modne, że jej z tem do twarzy, że można będzie pokazać się w nowej postaci znajomym. W najlepszym wkońcu wypadku — dlatego, że pomaga to w uzyskaniu, czy utrzymaniu „linji". Przeważnie jednak nie wie takie stworzenie wogóle, jak wygląda kort tenisowy i po przeminięciu okresu szału tenisowego używa najczęściej rakiety jako... trzepaczki.

„Prawdziwy tenisista" rzecz jasna — niema racji. Po pierwsze, bo takie uogólnianie krzywdzi w znacznym stopniu nasze piękne panie, które coraz żywszy biorą udział w życiu sportowem nietylko przez snobizm. Powtóre dlatego, że nie każdy może dorównać Tildenowi, czy choćby nawet Tarłowskiemu, a nie każda znowuż może być Jędrzejowską. Wystarczy, że chwilę wolnego czasu spędzi na świeżem powietrzu, połączywszy piękne i przyjemne z pożytecznem. Bo tenis, poza

NA KORTACH HOLLYWOOD

Dobrze zasłużony wypoczynek dwóch uroczych artystek Hollywoodu — Jean Chatburn i Mary Carlisle po „zaciekłej" partji tenisa.

Nietylko zdziwienie i ten „znak zapytania", ale i uśmiech litości i niemal pogardy rodzi się zapewne pod wąsem „prawdziwego" tenisisty na widok tych smukłych girlasek, zbrojnych w rakiety tenisowe.

— Dlaczegóżby nie — pomyśli zapewne wkońcu — może być i tak, ale to niema nic wspólnego z tenisem. Takie to tenisistki, jakie dziesiątkami i setkami spotyka się w niedzielę przedpołudniem w każdem większem mieście na t. zw. „corsie". Wdzieje „to" białe pantofle tenisowe i efektowny

normalnemi zaletami, ma tę przewagę nad innemi działami sportu, że jest naprawdę piękny i estetyczny.

Tak też niewątpliwie pojmują to gwiazdy filmowe. W chwilach wolnych od pracy trochę sportu nie zawadzi!

A że im z tem do twarzy — tem lepiej! Nie żądajmy od nich, aby każda grała jak Jadzia Jędrzejowska, tak jak nie żądamy przecież od każdego właściciela wiecznego pióra, by pisał, powiedzmy... jak Bernard Shaw, czy Makuszyński! R.



W kole: Najlepszą „rakietą" wśród gwiazd filmowych jest Carole Lombard, która w swej posiadłości w Bel-Air uprawia z zamiłowaniem „biały sport".



Ulubioną rozrywką wakacyjną Roberta Taylora jest walka na korcie tenisowym.



Na prawo: Decydującem uderzeniem rakietą zamierza Elissa Landi „pognębić" przeciwnika.

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XII.

Czy możemy gimnastyką wpłynąć na nasz wzrost? W dojrzałym wieku już chyba nie. Pozostaje nam tylko pracować nad tem, aby się nie kurczyć i aby umiejętnie zaprezentować pełny wzrost naszej postaci. Nie wolno rozleniwiać muskułów, które napinają nasze ciało. Takiemu stanowi rzeczy sprzyjają gorsety pań, obciskające biodra. Górna część tułowiu jest tak wygodnie oparta na sztucznym postumencie, że mimowoli nie napinamy w biodrach i w pasie muskułów, służących do „podwyższenia się".

Ale niewolno nam się opuszczać i polegać tylko na „sztuce"! Należy sobie uświadomić, że natura dała nam nasz własny „gorset" w postaci muskułów, opinających talję. Oto ćwiczenie, służące do wzmocnienia tych mięśni:



Ćwiczenie pierwsze: Wzmacnianie muskułów tułowia.

1) Stajemy w postawie zasadniczej, aby muskulatura napięła się równomiernie od stóp do karku. Wyciągamy ramiona w górę i „naciągamy" całą postać, starając się nie wznosić łopatek. Tylko nie wmawiajmy sobie w tej pozycji, że jesteśmy już bardzo smukłe i wysokie! Tak napiętą postać zginamy od pasa ku poręczy przystawionego krzesła, znowu wyprostowujemy się, napinając w górę mięśnie i znowu się zginamy. Plecy nie mają jednak tworzyć wyokrąglonego łuku, lecz muszą być sztywnie napięte.

2) Kładziemy się na plecach i zgięte w kolanach nogi stawiamy na ziemi. Ramiona podkładamy pod głowę, krzyż musi przylegać do podłogi. Następnie wznosimy zwolna prawą nogę i kładziemy wyprostowaną i silnie napiętą na podłodze, poczem „wyciągamy się" mocno z prawej strony. W ten sam sposób postępujemy następnie z lewą nogą.

Podczas gdy pierwsze ćwiczenie miało na celu głównie napięcie mięśni grzbietowych, drugie uruchamiają przedewszystkiem muskuły brzucha. Nie wystarczy jednak w celu podciągnięcia się wzwyż uprawiać wskazanych ćwiczeń. Zawsze należy pamiętać o tem, że podtrzymanie postaci powinno być w pierwszym rzędzie uzależnione od naszego własnego gorsetu, splecionego z muskułów. Musimy je napinać w chodzie, stojąc i siedząc. Przestrzegając tych pouczeń, możemy zawsze wydawać się wyższymi, niż jesteśmy w rzeczywistości.



Ćwiczenie drugie: Napinanie muskułów przez wyciąganie ramion.

Na dniestrowej plaży w Zaleszczykach



Koniec lipca i początek sierpnia, to wymarzona pora dla pobytu w Zaleszczykach. Tętni też obecnie życiem przepiękny półwysep, z trzech stron oblany Dniestrem i wystawiony na gorące słońce południa Polski. Najcieplejszy ten zakątek kraju słynie znakomitemi warunkami zdrowotnemi, a zwłaszcza klimatem, usłonecznieniem, ożywczemi kąpielami rzecznemi i obfitością owoców dla kuracji owocowej. Zjeżdżają więc do Zaleszczyk liczni kuracjusze i letnicy z najdalszych nawet stron Polski, aby spędzić tu miłe wywczasy. Wygodne i przystępne warunki pobytu, sport wodny i kąpiele rzeczne, wycieczki, liczne rozrywki towarzyskie itp. — oto atrakcje zaleszczyckiego sezonu uzdrowiskowo-letniskowego.

W SŁOŃCU NAD MORZEM...



Ogólny widok plaży w Juracie.

— Nad morzem tłok, nie ma miejsca, jechać nie warto!... — ostrzegano mnie przed wyjazdem na wybrzeże, ale że czasem człek poczciwy jest niedowiarkiem, postanowiłem przekonać się osobiście o sytuacji i obecnie podaję „komunikat oficjalny". Przed tem jednak mam do was małą prośbę, PT. Czytelnicy: Jeśli wam ktokolwiek opowiadać będzie bajki o „orgjach tłokowych" nad morzem — bierzcie czemprędzej najcięższy przedmiot będący pod ręką i walcie bez litości!

A zresztą pojęcie tłoku jest elastyczne, jak... frank francuski, to też przejdźmy lepiej do oceny sytuacji, a skoro już mowa o ocenie, to również i do cen.

„Zaludnienie" na wybrzeżu jest w tym roku bardzo nierównomierne. Największy „komplet" posiada Jastarnia — królestwo młodzieży, pięknych dziewcząt, niefrasobliwych rozrywek i wielu niewygód, ale i tutaj znaleźć można jeszcze nadkompletowe locum.

Słyszy się również dużo o szalonych kosztach pobytu nad morzem. Jest w tem również wiele przesady, choć stwierdzić muszę z całą stanowczością, że istotnie, za pobyt nad morzem nikt premij gotówkowych nie dostaje, że płacić trzeba, a ile — to już kwestja umiejętności urządzania się i możliwości finansowych...

* * *

Jurata, która ma zaszczyt gościć w roku bież. Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z małżonką, słusznie rościć sobie może pretensje do miana najlepiej urządzonego uzdrowiska na polskiem wybrzeżu.

Oczywiście, dużo tu jeszcze jest do zrobienia, lecz i dużo też dokonano. Czystość, planowość zabudowy, estetyka — wszystko to składa się na harmonijną całość i daje nadzieję, że z czasem całe nasze wybrzeże zostanie należycie uporządkowane...

* * *

Codziennie wczesnym rankiem, gdy większość mieszkańców Juraty pogrążona jest jeszcze w słodkim śnie po wesołych dancingach i nocnych... przechadzkach — aleje i dróżki śródleśne przemierza równym, sprężystym krokiem wysoka postać męska, którą nawet w oddali nie trudno zidentyfikować. Wspaniała postawa, piękne sarmackie oblicze, dystynkcja, bijąca z każdego ruchu — ależ to nie kto inny, tylko mistrz Wojciech Kossak, który od szeregu lat spędza wywczasy nad polskiem morzem.

Mistrz mieszka w willi prywatnej w otoczeniu najbliższej rodziny. Widzimy go często na spacerze w towarzystwie wnuczki, spotykamy go nad morzem i na zatoce, gdy udaje się na przejażdżkę łodzią motorową, a wieczorem — na „brydżyka".

W godzinach południowych Wojciech Kossak zdąża w stronę lasu z akcesorjami malarskiemi w ręce.

— Tato nie może spędzić dnia bez pracy. Właśnie teraz przeprowadza studja nad paprocią i codziennie przesiaduje parę godzin na polance w pobliżu zatoki — mówi nam urocza pani Magdalena Samozwaniec, która przebywa tu również od paru tygodni.

Magdalena Samozwaniec przepada za sportami wodnymi, pływa, jak ryba i skarży się, że nasi „plażowicze" są bardzo kiepskimi sportsmenami.

— Nie mogę znaleźć amatora, któryby zechciał wypłynąć dalej na morze, tam, za słupki, którymi oznaczona jest „oficjalna sadzawka pływacka"... — zwierzyła się nam spoglądając z politowaniem na publiczność plażową.

I rzeczywiście — publiczka tutejsza ma dziwne ustosunkowanie się do sportów wodnych.

— Jestem „zrobiona" i nie będę dziś pływać, bo popsuję sobie twarz... — podsłuchałem oświadczenie pewnej powabnej syreny, która, leżąc na piasku, kontrolowała co chwila „makijaż" w nieodstępnem lusterku.

Zapytujemy panią Samozwaniec, czy pracuje dużo nad morzem.

— Tylko podczas deszczu — śmieje się zawsze pełna humoru „Pani Madzia", poczem dodaje: Mieliśmy aż trzy dni niepogody w czasie sezonu!...

Za to bawiąca tu również p. Pawlikowska-Jasnorzewska wyznaje inną zasadę: zajmuje się pracą pisarską w godzinach rannych niezależnie od pogody.

Przechodząc koło willi, zajętej przez rodzinę mistrza Kossaka, miałem możność nieraz „podsłuchać" stuk „Underwooda". To właśnie autorka „Zalotników niebieskich" i „Nagrody literackiej" przygotowuje nową sztukę...

* * *

Literatura, plastyka, scena — mają w tym roku licznych przedstawicieli na wybrzeżu.

Wypoczywają tu od dłuższego czasu mistrz Kuna i mistrz Węgierko, widzieliśmy też świetnego karykaturzystę Jerzego Zarubę, a utalentowany malarz Stanisław Łuckiewicz wystawił szereg ciekawych swych prac marynistycznych.

Młody, lecz znany już dobrze w kraju i zagranicą śpiewak — Paweł Prokopieni cieszy się wielkiem powodzeniem, zarówno na koncertach, jak i na plaży...

Wybrzeże nasze byłoby „zdekompletowane" bez Lody Halamy". Świetna ta tancerka jest jednak wierna morzu i całe swe wakacje spędza tutaj.

— Wszędzie jest dobrze, ale w morzu najlepiej! — oznajmia nam „Halamka".

Andrzej Krasicki.

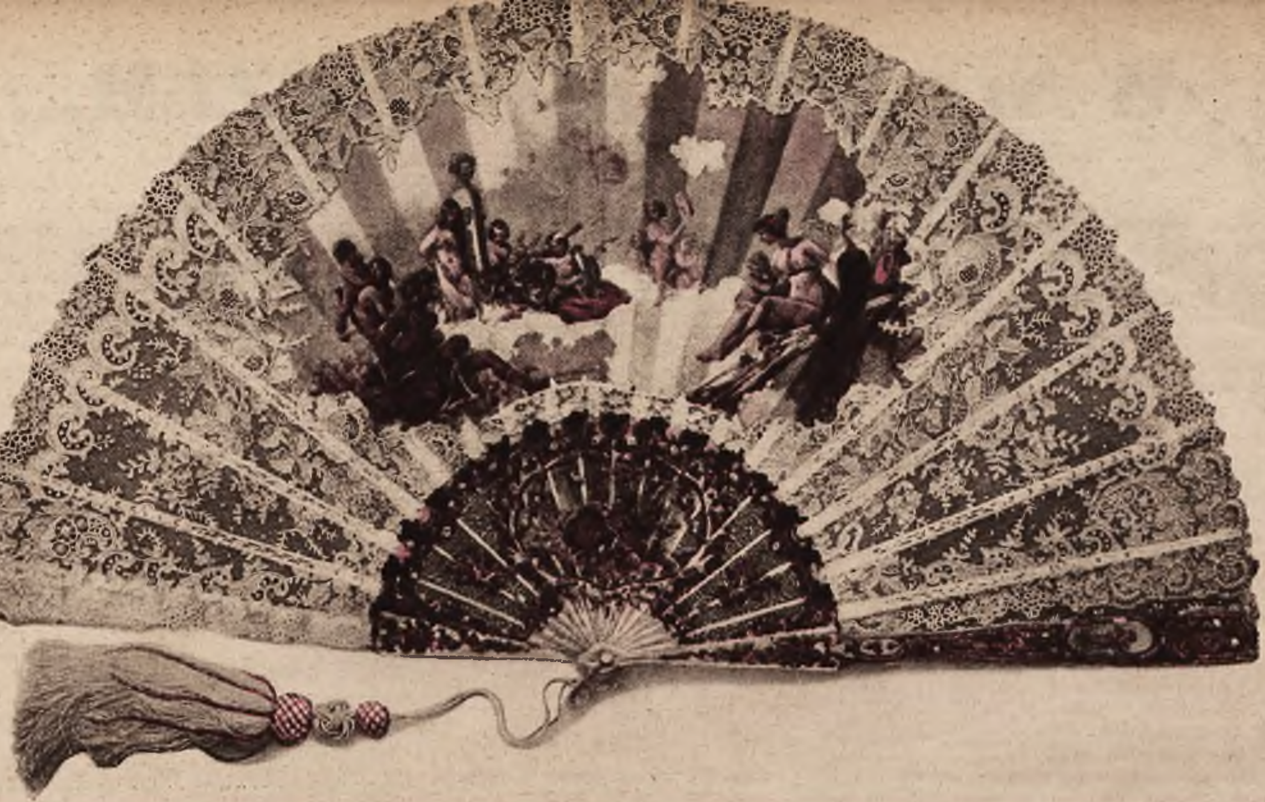


Wojciech Kossak z wnuczką zażywa nad Bałtykiem letnich wywczasów.



Poza deskami scenicznemi Loda Halama czuje się najlepiej w wodzie!

Wszystkie zdjęcia fot. A. Krasicki.



WACHLARZ I KOBIETA

Potajemnie, we śnie, na ustach Psyche złożony pocałunek, kosztował boga zachodnich wiatrów Eola jedno z jego pięknych skrzydeł, wydarte mu z zemsty przez Erosa, który złożył je jako trofeum w ręce swej boskiej kochanki. Psyche, słuchając jego opowieści, z takim wdziękiem poczęła kryć zawstydzony wzrok za pięknemi piórami i chłodzić niemi zaróżowione oblicze, że olśniony niespodziewanym widokiem Eros, zapomniał o gniewie...

Piękny palmowy liść posłużył pierwszej na ziemi zalotnicy, Ewie, do olśnienia oczu Adama, gdy ten ujrzał ją nagle, wychylającą się z cienia palmowego gaju. Wprawdzie szybko opuściła na jego widok zawstydzone oczy, kryjąc je za przejrzystym liściem... ale przebłyskujące zza niego oczy rzucały tem większy urok dokoła.

Tak! W raju i na Olimpie zaczyna się historja wachlarza, jednego z najstarszych przedmiotów użytkowych ludzkości. Lecz, gdy jedni przypisują jego powstanie „dem ewig Weiblichen", przyznać należy sprawiedliwość i tym, którzy z mniej poetycznego, ale realniejszego punktu widzenia obserwują dzieje wachlarza, jako przedmiotu, który powstał wcześniej może od odzienia w tropikalnych krajach, służąc do ochłody i osłony przed palącemi promieniami słońca.

Wszystkie ludy pierwotne, zamieszkujące strefy gorące, używały i używają wachlarzy, lecz forma ich jest zupełnie inna od powstałego w Chinach i Japonji prototypu wachlarza składanego. Ale też, o ile wachlarz składany skostniał niejako w swej klasycznej formie, o tyle płaskie wachlarze ludów pierwotnych, mające za wzór prawdopodobnie kształty liści roślinnych, są bardzo różnorakie. Były one wyplatane ze słomy, łyka i liści najrozmaitszych roślin stref tropikalnych, jak palmy, bambusy, czy agawy. Wyplatanie, stosowane prócz wyrobu wachlarzy także w wykonywaniu mat, pokryć dachów czy ścian pierwotnych domostw jest pierwszym stopniem do techniki tkackiej, która zakwitła dopiero w Syrji i Arabji po upadku cesarstwa rzymskiego.

Nieodłącznym przedmiotem powszechnego użytku był i jest wachlarz w Chinach i Japonji, gdzie już dziecku do kolebki składają rodzice po urodzeniu wachlarz jako symbol ukojenia we wszelkich opałach i... upałach życiowych. Herbata, ryż i wachlarz to nieodłączne pojęcia, związane raz na zawsze z wizją Japonji i Chin.

Powyżej: Koronkowy wachlarz kompozycji H. Kobersteina.





Na lewo: Jak widzimy na egipskich malowidłach, wachlarz należał w kraju faraonów do przedmiotów codziennego użytku.

Wachlarze japońskie i chińskie kształtowały się odmiennie. Na sztelarzu z liści bambusowych umieszczano pióra rozmaitych ptaków, potem zastąpiono je papierem jedwabnym, a wreszcie prawdziwym jedwabiem. — Odtąd wspaniałość malowideł konkurowała w nich z mieniącemi się perłami, jakiemi zdobiono wachlarze, co spowodowało zakaz ich wyrobu, który powstrzymał na długo dalszy rozwój. — Około IV wieku po Chrystusie rozpowszechniły się w Chinach wachlarze z liści palmowych, które do dziś dnia są przedmiotem eksportu do krajów zachodnich, zwłaszcza do Ameryki, gdzie zapotrzebowanie na wachlarze od niepamiętnych czasów jest bardzo wielkie.

Rozwój form wachlarza chińskiego i japońskiego jest bardzo zmienny. Po wachlarzach z piór pawich, wracają wachlarze składane, wyposażone w cenne autografy panujących, wysokich dostojników, kapłanów itd., oraz formy składane okrągłe. Wszystko to potem naśladują cywilizowane narody europejskie, w czasach wielkiego rozkwitu



przemysłu wachlarzowego, które nastały za renesansu, baroku, rokoka i empire'u.

Zanim to jednak nastąpiło, dzieje wachlarza przeszły przez wieki rozwoju klasycznej epoki. W Egipcie, podobnie jak w krajach dalekiego wschodu, łączy się używanie wachlarzy jak najściślej z ceremonjałami monarszemi i religijnemi, które były stale określone i surowo przestrzegane. Wizerunki ich, odnalezione w licznych egzemplarzach w wykopaliskach egipskich, pozwalają na dokładne zrekonstruowanie wspaniałych wachlarzy z piór, które są nieodłączne od wystąpień faraonów i kapłanów.

Klasyczna Grecja wkłada wachlarz w dłonie wytwornych dam, które z nieporównanym wdziękiem umiały chłodzić swe namiętnością czy upałami rozpalone czoła. To wachlarze płaskie, naśladujące w stylizowanych formach różne kształty liści, nawet tak dla tych celów trudnych, jak platanowe czy akacjowe. Wykonywano je z delikatnych, cieniutkich deseczek lub skóry, póki z wyspy Samos nie przyszła moda wachlarzy z pawich piór. Takim wachlarzem niewolnik frygijski chłodził czoło pięknej Heleny, jak powiada Eurypides w „Orestesie".

Świetny okres dla wachlarzy nastał podczas upadku cesarstwa rzymskiego. Wszelkie formy użycia zbiegają się w pałacach rzymskich magnatów, gdzie zastajemy przy słynnych ucztach kosztownie ubrane kobiety, w delikatnych jedwabiach chińskich lub przeźroczystych gazach, w klejnotach na ramionach i nogach, w pięknie uczesanych fryzurach z farbowanych włosów. I tak zostało do upadku Rzymu, choć zwolna wachlarz przeszedł znów z życia prywatnego do atrybutów kultu religijnego.

Chrystjanizm, który z konieczności przejął niektóre tradycje pogańskie, nie zarzucił wcale wachlarzy. Parę wieków trwał zwyczaj, że Mszę św. odprawiano przy udziale dwóch djakonów, którzy z obu stron ołtarza pełnili służbę, trzymając wachlarze na długich drążkach, przy pomocy których odpędzać mieli od naczyń świętych muchy i owady. Forma tych wachlarzy zmieniała się: od pergaminowego wachlarza na prostem osadzeniu do cenniejszych materjałów, piór i kosztownego wyposażenia droga szła konsekwentnie i równolegle z potęgowaniem się przepychu kultu religijnego. A i dziś oficjalnym wystąpieniom papieża towarzyszą wspaniałe wachlarze po obu stronach jego tronu „Sedia Gestatoria".

W południowych krajach Europy wachlarz z konieczności nie zatracił swej użyteczności u kobiet nawet z ludu, trzeba było jednak dopiero świeżego powiewu renesansu, aby wachlarz powrócił do swych praw w dłoniach wielkich dam, które zczasem obrały go sobie niemal za powiernika i sprzymierzeńca w swej nieustającej walce o podbój świata. Podbój czasami niewinny, w którym rolę zwycięską odgrywały nie miecze i kordy, lecz oczy, usta i uśmieszki, dyskretnie działające z za wachlarzy, osłaniających, to odsłaniających ich wdzięki, sercom panów świata.

Na lewo: W XVIII wieku wachlarz był częścią kobiecej tualety.

Poniżej: Ciekawy okaz wachlarza z Tonkinu.



Cały wytworny świat kobiecy ujął wachlarze w swe dłonie. Poważna matrona, signora, madonna, sposa, donzella, podestaressa i capitanessa królują w otoczeniu poetów, malarzy, polityków, książąt i królów. A dyskretnym intrygom i poufnym rozmowom towarzyszy delikatny szmer wachlarzy...

Piza, Siena, Wenecja, dwory potężnych dożów, książąt i tyranów, oto kulisy dziejów, rozwijających się pod ożywczym wpływem odkrywanego przez badaczy i uczonych ducha słonecznej Hellady.

O ile jeszcze w XIV w. wachlarz był przedmiotem luksusowym, dostępnym tylko dla możnych tego świata, o tyle w sto lat później jego użytek staje się powszechny, przyczem jego kształt bywał tak rafinowany i kosztowny, że z ambon sypać się nań poczęły klątwy. Gdy się dowiemy, że wachlarz jednej z księżniczek lotaryńskich, wykonany z kości słoniowej, posiadał wartość równą w dzisiejszej walucie ćwierci miljona franków, nie będziemy się temu wcale dziwić!

Życie przybiera znów formy tak okazałe, że kiedy ostatni z Walezjuszów na tronie francuskim, niechlubnie z Polski uciekający król Henryk, znalazł się po swym powrocie w Wenecji, był przyjmowany w ratuszu przez dwieście co najpiękniejszych dam w takim przepychu szat i klejnotów, że nawet on był olśniony i zdumiony.

Wpływy renesansu szybko przedostają się do Francji, rozpoczynając wspaniały rozkwit Paryża, którego dwór królewski doprowadzić miał w następnych wiekach sztukę wykwintnych manier towarzyskich do szczytu doskonałości, przyczem znów wachlarz zajął należne mu miejsce. To też rozwija się specjalny dział przemysłu, poświęconego wyrobowi wachlarzy. Przechodzą one rozmaite formy. Od wachlarza-chorągiewki, poprzez kształty płaskie, aż do składanych, które przeniknęły już z dalekiego wschodu do Europy. Nadchodzi czas, kiedy najwięksi malarze Watteau i Boucher nie wahają się ozdabiać ich własnoręcznie scenami rodzajowemi z dzieł Tassa, Ariosta, Boccaccia czy Cervantesa. Na pergaminie czy safianie, mocnych jedwabiach czy delikatnych skórach, malowidła te były małemi arcydziełami.

Oprawy wachlarzy przeobrażały się w coraz to kosztowniejsze cacka, to z kości słoniowej, to z szyldretu. Oto współczesna o nich relacja: „Są one w różne wzory ryte, piłowane, wycinane, ażurowane, o podkładkach ze złota i srebra. Są też złocone i malowane najcudowniejszemi farbami, lub inkrustowane złotem, srebrem i perłową macicą".

Takie to wachlarze dały początek specjalnej „mowie" wachlarzy, która od Ludwika XIV rozpoczęła swój milczący, ale wymowny pochód po wszystkich dworach monarszych, służąc wszechwładnie panującej intrydze, obmowie, bezwzględnemu niszczeniu każdego przeciwnika. Obserwuje się go dyskretnie

Dokończenie na str. 31.



Powyżej: Ozdobny wachlarz egipski z strusich piór, który należał do jednego z faraonów



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

SOK JABŁECZNY SUROWY ZAMIAST ZUPY. (Z kuchni diet.). 1 kg jabłek umytych i oczyszczonych z nasadki kwiatowej, trze się wraz z łupką na cienkiem tarle wprost do miseczki porcelanowej, do której wyciśnięto poprzednio sok z całej cytryny. (Zabieg ten jest potrzebny, aby jabłka nie czerniały, należy też od czasu do czasu jabłka przemieszać). Starte jabłka wyciska się w specjalnej prasie lub w braku tejże w woreczku płóciennym. Sok podaje się w filiżankach, bez żadnych dodatków, dobrze zastudzony w miejsce zupy, lub po amerykańsku na czczo przed śniadaniem.

WŁOSKA KAPUSTA Z GRUSZKAMI. Małą główkę włoskiej kapusty kraje się w ćwiartki, gotuje przez pół godziny, następnie odlewa z wody i wyciska lekko. Osobno gotuje się pół kg gruszek, tzw. cukrówek obłupanych, przekrojonych na połówki i wydrążonych. Z łyżki masła i tyleż mąki robi się jasno-żółtą zasmażkę, zalewa paru łyżkami zimnej wody i kieliszkiem owocowego wina. Do gładkiego już zagotowanego sosu wkłada się kapustę i gruszki, podgotowuje i zaprawia łyżką karmelu, aby potrawie nadać kolor. Na karmel smaży się łyżeczkę cukru z troszką masła tak długo, aż nabierze bronzowego koloru, wtedy zalewa się niewielką ilością wody i rozgotowuje. Oryginalny przepis każe dusić w potrawie tej, tłusty kawałek baraniny. Zdaje się, że potrawa ta w pierwszej wersji prędzej do naszej kuchni będzie dostosowana.

DUSZONE OGÓRKI. Surowe, podłużne, cieńsze ogórki łupie się i kraje wzdłuż na ćwiartki, następnie dusi na łyżce masła z troszką siekanej cebulki tak długo, aż ogórki staną się przeźroczyste. Zapruszone troszką mąki, podlewa się je rosołem, zatowuje, dorabia smak sokiem cytrynowym, solą i cukrem, dodaje parę łyżek śmietany oraz troszkę siekanego kopru i podaje z ziemniaczkami, krokietkami z ryżu lub makaronem, jako jarską potrawę. Jarzyna ta nadaje się również jako dodatek do pieczystego.

KALAFJOR Z SZYNKĄ. Duży, ugotowany kalafjor, rozbiera się na pojedyncze różyczki. Ogniotrwałą miskę polewa się paru łyżkami śmietany, układa na niej kalafjor i posypuje siekaną lub mieloną szynką (6—10 dkg). Na wierzch daje się 1/8 l śmietany, rozkłóconej z dwoma żółtkami, posypuje parmezanem (tylko dla amatorów) i zapieka w piecyku przez 15 minut.

BOMBA Z MELONA. Biały lub zmielony wewnątrz tzw. cukrowy melon, ścina się z wierzchu, wyjmuje miąższ ostrym nożykiem tak, aby go nie uszkodzić, a skóra melona pozostała cała. Miąższ oczyszcza się z pestek i włókien i kraje w kostkę, kropi likierem waniljowym i posypuje cukrem. Z 1/8 litra wina, 4 żółtek i 12 dkg cukru, ubija się na parze gęsty krem, który się po ostudzeniu miesza z szklanką bitej kremówki, dodaje przygotowany miąższ melona i troszkę poziomek lub pokrajanych brzoskwiń. Kremem tym napełnia się melon, raczej skórę melona, przykrywa ściętym wierzchołkiem i zastudza na lodzie. Ten sam krem można ukręcić w maszynie od lodów i potem melon napełniać. Wygodniej będzie przekroić melon na dwie połówki i w ten sposób napełniać, ale nie wygląda tak ładnie, jak melon w całości podany.

ZIMNY BUDYŃ CZEKOLADOWY. 12½ dkg czekolady ropuszcza się na miseczce porcelanowej w cieple, dolewa pół szklanki gorącego mleka i ostudza, mieszając. ½ litra kremówki ubija się na sztywną piankę, dodaje wśród ubijanie 6 dkg cukru pudru z wanilją i miesza z zupełnie wystygłą czekoladą. Siekane skórki pomarańczowe lub sucha konfitura z czernic podnosi smak budyniu. Masą tą napełnia się formę bombową lub budyniową, wypłókaną zimną wodą, owija w mokrą ściereczkę i wkłada do lodu na 3—4 godzin.

SAŁATKA OWOCOWA. Wszystkie owoce, jakie nam letnia pora przynosi, drobne w całości, większe zaś drobon pokrajane, kropi się likierem maraschino lub rumem, polewa gęstym syropem cukrowym i wstawia na kilka godzin do lodowni. Osobno podaje się do tej sałatki surową śmietankę nieubijaną, lecz na lodzie silnie zastudzoną. Sałatkę tę można podać w galaretce, mianowicie syrop cukrowy miesza się z sokiem owocowym, dodaje kilka płytek żelatyny, rozmoczonej w gorącym soku i zalewa tem owoce na misce.

LIKIER Z ZIELONYCH WŁOSKICH ORZECHÓW. Dużą flaszkę napełnia się w 1/3 pokrajanemi w ćwiartki zielonemi orzechami, resztę, tj. 2/3 flaszki napełnia się spirytusem najlepszego gatunku. Flaszkę z zawartością stawia się w słoneczne miejsce na 4—6 tygodni, poczem spirytus odlewa się. Osobno robi się syrop w ten sposób, że gotuje się 25 dkg cukru i pół litra wody przez 10 minut. Wystudzony syrop miesza się z nalewką orzechową i filtruje przez bibułę. Likier ten ma piękny zielony kolor, smak gorzkawy i bardzo smaczny.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Użycie lodu w gospodarstwie domowem podczas lata odgrywa dużą rolę, nieraz jednak rozdrobnienie kawałka lodu do napojów chłodzących jest rzeczą dosyć trudną. Obok zreprodukowane szklane naczynie posiada przyrząd do rozbijania kawałków lodu zanim się je wrzuci do szklanki z napojem przeznaczonym do zamrożenia.



Obok zreprodukowana specjalna chochla o podwójnej ściance służy do „wyłapywania" tłuszczu na rosole, co niezawsze udaje się zwykłą łyżką. Na podwójnej ściance zatrzymuje się tłuszcz, przez dziubek zaś wypływa czysty rosół.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 32 — **Sierpień** — 31 dni

NIEDZIELA **1** Piotra w ok.	Mrożony rosół z groszkiem ptysiowym. Paszteciki z mięsa rosołowego w naleśnikach. Kaczki pieczone nadziewane jabłkami. Duszona kapusta. Budyń czekoladowy. Kolacja: Kanapki jarskie i mięsne z sałatą.
PONIEDZ. **2** NPM. Anielsk.	Chłodnik ogórkowy. Kotlety z włoskiej kapusty smażone w cieście. Mostek cielęcy nadziewany z mizerją i ziemniaczkami. Kompot mieszany. Kolacja: Kalafiory i chleb z kremem serowym.
WTOREK **3** Zn. św. Szczep.	Zupa jabłeczna z grzankami. Omlet z zielonym groszkiem. Wieprzowe kotlety z kiszonemi ogórkami. Kruchy placek z pianką morelową. Kolacja: Grzybki duszone w śmietanie.
ŚRODA **4** Dominika wyzn.	Zupa z jarzyn purée z grzybkiem. Makaron w sosie pomidorowym. Rozbratle duszone z zieloną fasolką. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Faszerowane jaja.
CZWARTEK **5** NPM. Śnieżnej	Zupa z bułek /panade/. Młoda kapusta gotowana w całości, z rumianem masłem. Kurczęta w śmietanie z kluseczkami. Kompot z surowych owoców w galaretce. Kolacja: Kasza hreczana z kefirem domowym.
PIĄTEK **6** Przem. Pańskie	Chłodnik z buraczków z twardem jajem. Rizotto z zielonym groszkiem. Karp lub szczupak w koprowym sosie z ziemniaczkami. Knedelki z parzonego ciasta z morelami. Kolacja: Marynowane pstragi z bułką.
SOBOTA **7** Kajetana, Alb.	Zupa pomidorowa z ryżem. Włoska kapusta z gruszkami. Zraziki cielęce naturalne z sałatą mieszaną i marchewką. Budyń ryżowy z galaretką morelową. Kolacja: Pasztet z wątróbki na zimno.

HOCKI-KLOCKI

WYŻSZE POWODY.



— Będę musiała wyjechać do jakiegoś nadmorskiego letniska, gdyż lekarz oświadczył, że dla Pikusia wskazany jest pobyt nad morzem! ***Rys. Charlie.***

Rozwiązanie z N-ru 30-go.

MNOŻENIE W PAMIĘCI.

Mnożenie winno być momentalne. Iloczyn wynosi 0.

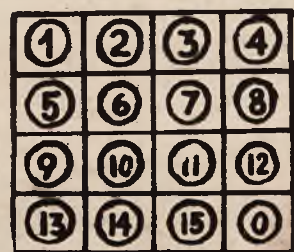
SIEDEM PRZEKUPEK.

Jedynym sposobem zarobienia tej samej kwoty przy sprzedawaniu różnych ilości jabłek po tej samej cenie jest sposób, coprawda dość ekscentryczny, a mianowicie, każda przekupka sprzedawać winna swe jabłka np. po złotówce za siedem sztuk i po 3 zł za każde pozostałe jabłko (lub też 2 i 6 zł itp.). W ten sposób każda przekupka otrzymuje za swe jabłka tyle samo pieniędzy, 20 zł.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KWADRAT MAGICZNY.

Jeden z przyjaciół zaproponował panu Wróblowi rozwiązanie następującego zadania: szesnaście pionków należy ułożyć w ten



sposób, by tworzyły kwadrat magiczny, to zn. by sumy liczb w czterech rzędach poziomych i czerech pionowych oraz na obu przekątniach wynosiły 30, z zachowaniem jednak tego warunku, że tylko dziesięć pionków wolno ruszyć z miejsca — pozostałe sześć muszą pozostać na dotychczasowych.

ROZBAWIONY



Właściciel mieszkania do strażaka: Proszę niech pan zacznie najprzód gasić pokój jadalny, gdyż mam gości na kolacji! ***(„Ric et Rac")***

Dokończenie ze str. 5.

Dziś wyrobiły się inne, nowe typy Polki: weszła ona do pracy zawodowej, spełnia nieraz ważną rolę społeczną jako posłanka, urzędniczka lub wykonując wolny zawód. I Zosia mickiewiczowska i Oleńka Kurcewiczówna musiały ustąpić miejsca nowej swej towarzyszce, która, rzecz prosta, straciła pewne cechy tamtych, nabywając inne, nowe. Zmieniła się nie tylko Polka pod względem psychicznym, zmieniła się też jako uroda. Czy należy z zmian tych cieszyć się czy martwić? Ani jedno ani drugie! Każdy żywy człowiek przechodzi metamorfozy zgodnie z zmieniającemi się okolicznościami i są one właśnie dowodem jego żywości. jego zdolności uczestniczenia w bieżącem życiu. Jest to więc plus moralny, chociaż zanikanie fizycznych cech typu polskiego, który ukazują nam niektóre stare portrety, pozbawia Polkę naszego swoistego powabu. Ale pocieszmy się: i dzisiejsza Polka odnosi sukcesy nie tylko w różnych poważnych dziedzinach życia, ale też jako kobieta, posiadając najważniejszą zaletę swej płci: urok i urodę! **Jan Maleszewski.**

Dokończenie z str. 8-ej

Powyższe zestawienia tłumaczyłyby nam więc nasze, niczem nie umotywowane sympatje i antypatje, które tak często stają na naszej życiowej drodze. Gdybyśmy mogli się zorjentować w tej dżungli różnych krzyżujących się wpływów kosmicznych, niejedna życiowa decepcja, niejedna tragedja zostałaby nam zaoszczędzona. Mały przykład: poznajemy piękną, młodą osobę, która wprawdzie na pierwszy rzut oka ogromnie się na podoba, cóż z tego, kiedy miłość do niej to to samo, co pomięszanie wody z ogniem! Znajoma nasza urodziła się pod znakiem Wenus, a my pod znakiem Marsa, jak więc mogła między nami panować harmonja! Nakoniec jedno praktyczne wyjaśnienie: jeżeli chcemy stwierdzić datę urodzenia naszej znajomej to pytajmy się oczywiście tylko o dzień i miesiąc: nigdy o rok!

Nakoniec podajemy zestawienie harmonizujących ze sobą znaków zodjakalnych. Otóż osoby urodzone w czasie od 21 marca do 21 kwietnia (przeważający wpływ Marsa) zgadzają się najlepiej z osobami z pod znaku Strzelca lub Lwa a również zbliżeni są do osób z pod znaku Bliźniąt lub Wodnika. Osoby urodzone pod znakiem Byka, tj. w okresie od 21 kwietnia do 21 maja, stoją pod wpływem planety Wenus dającej zazwyczaj urodę fizyczną. Sympatyzują z osobami z pod znaku Panny i Koziorożca i zgadzają się z temi, które urodziły się pod Rakiem lub Lwem, Osoby urodzone w okresie od 21 maja do 20 czerwca tj. pod znakiem Raka stoją pod wpływem Księżyca i pociągają ich osoby z pod znaku Raka lub Ryb, zgadzają się również z osobami z pod znaku Panny lub Byka. Osoby urodzone w okresie od 21 lipca do 20 sierpnia tj. pod znakiem Lwa powinny wybierać towarzysza lub towarzyszkę życia z pod znaku Barana lub znaku Strzelca, a Bliźnięta i Waga są im sympatyczne. Osoby urodzone w okresie od 21 sierpnia do 20 września tj. pod znakiem Panny podlegają wpływom Merkurego a najlepszymi ich towarzyszami lub towarzyszkami życia, będą osoby urodzone pod Koziorożcem lub Bykiem, jak również pod Rakiem lub Niedźwiadkiem. Osoby urodzone w okresie od 21 października od 20 listopada pod znakiem Niedźwiadka, stoją pod znakiem Marsa i powinny szukać męża lub żony wśród osób z pod znaku Ryb lub Raka, a osoby urodzone pod znakiem Panny lub Koziorożca będą im sympatyczne. Osoby urodzone pod znakiem Strzelca od 21 listopada do 21 grudnia stoją pod znakiem Jowisza a znajdą szczęście małżeńskie z osobami urodzonemi pod znakiem Lwa, Barana, Wodnika i Wagi. Osoby urodzone w okresie od 21 grudnia do 20 stycznia pod znakiem Koziorożca zbliżone są sympatjami do osób urodzonych pod znakiem Byka lub Panny lub też Barana i Raka. Osoby urodzone w okresie od 21 stycznia do 20 lutego pod znakiem Wodnika podlegają wpływowi Saturna i Urana i sympatyzują z osobami z pod znaku Wagi, Bliźniąt, Barana i Strzelca. Wpływowi Jowisza podlegają osoby urodzone pod znakiem Ryb w okresie od 21 lutego do 20 marca i znajdą przyjaźń u osób urodzonych pod znakiem Raka, Niedźwiadka, Byka lub też Koziorożca.

Nakoniec warto zaznaczyć, że osoby urodzone w chwili przechodzenia słońca z jednego znaku do drugiego, dziedziczą, według astrologji, właściwości które dają oba znaki.

Stosując się więc dokładnie do wskazówek astrologji, możemy rozwiązać zagadkę naszych sympatji i antypatji a w każdym razie... usprawiedliwić je przed ludźmi!

j.

Dokończenie ze str. 29.

z za wachlarza, któremu przydaje się nawet maleńkie okienka...

Z wybuchem wielkiej rewolucji zniknęły z wachlarzy sielskie sceny pasterskie czy śmielsze sceny miłosne. Zastąpiły je rychło portrety Dantona, Lafayette'a czy Mirabeau. Później, zależnie od kierunku politycznego, zdobią wachlarze hasła republikańskie czy rojalistyczne, patetyczne wiersze lub złośliwe pamflety czy karykatury. Umiano tak sprytnie stosować się do sytuacji, że wachlarz dał się dwustronnie używać, zależnie od okoliczności, na jedną lub drugą stronę rozwijany. Obie miały wyraźne, lecz całkiem odmienne oblicza polityczne.

Napisy na wachlarzach bardzo długo utrzymały się w użyciu, zmienia je tylko duch czasu i powiew nowych haseł politycznych czy obyczajowych. I tak wachlarze empirowe czy biedermayerowskie wyróżniają się sentencjami lirycznemi lub filozoficznemi.

W naszą epokę weszły wachlarze już jako przedmioty tuzinkowej, groszowej fabrykacji i dopiero powrót do ozdabiania ich piórami strusiemi dostroiły je znowu do wielkiej tualety, w której występuje reprezentacyjnie współczesna kobieta.

J. Harasowska.

To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr im. Słowackiego w Krakowie zamknął swój sezon wybornem przedstawieniem „Profesji pani Warren“ Shawa, w której wystąpili pp. J. Wernicz (pani Warren), T. Suchecka (córka), Fabisiak (Crofts), Wroński (pastor), Kaliszewski ,(syn pastora) Macherski (Pread).

Do Krakowa przybył zespół warszawskiego „Ateneum“ z Jaraczem na czele. Mieliśmy trzy interesujące widowiska: „Szkołę żon“ Moliera, „Woźnego i ministra“ A. Birabeau i „Ludzi na krze“ W. Wernera.

„Szkoła żon“ była popisem niemal solowym Jaracza w roli Arnoldta. Nie znaczy to, żeby inni wykonawcy nie stanęli na wysokości zadania, ale Jaracz był „klasą dla siebie“. Zresztą Molier najbogaciej wyposażył Arnoldta w rysy psychologiczne, skutkiem czego ta postać pozwala śledzić grę uczuć: od dumnego przekonania o sile własnych wpływów, poprzez niepewność i wahanie, poprzez czułość i tkliwość aż do gwałtownych wybuchów zazdrości.

Inne role przypadły m. in.: pełnej wdzięku J. Polakównej (Anusia), L. Pośpiełowskiemu (Horacy), St. Daniłowiczowi (Grzela) i H. Kamińskiej (Agatka). — Reżyserowała p. St. Perzanowska. Dekoracje i kostjumy opracował Wł. Daszewski.

Komedjo-farsa Andrzeja Birabeau p. t. „Woźny i minister“ odznacza się dużą pomysłowością autora w piętrzeniu zabawnych efektów, nie pozbawionych akcentów politycznej satyry. Na scenie panuje ciągły ruch: zdarzenia prześcigają się wzajemine. Autor stara się wyzyskać w pełni komizm sytuacyj np. kiedy okazuje się, że minister jest synem woźnego — Birabeau wygrywa pokolei ten efekt: najpierw dowiaduje się o tem woźny, następnie minister, jego żona, ojczym i t. d.

Jaracz stworzył kapitalną postać woźnego, małego człowieczka, który zadowala się tem, co posiada: nie ma wielkich ambicyj; dopiero wypadki, niezależne od niego wciągają go w wir polityki, wynosząc do rangi — ministra, następcy własnego syna.

Niezwykle młodym ministrem był p. L. Pośpiełowski, jego urodziwą małżonką — p. E. Kryńska; sympatycznym ojczymem — p. J. Łuszczewski; przedsiębiorczą Sylwją (matką ministra i pierwszą żoną woźnego) — p. St. Perzanowska. Z epizodycznch ról należy wymienić: posła komunistycznego (p. St. Daniłowicz) i artystkę Komedji Francuskiej p. H. Kamińska). Reżyserja p. St. Perzanowskiej.

Sztuka „Ludzie na krze“ zdobyła powodzenie w ubiegłym sezonie w teatrze im. Słowackiego. W teatrze Ateneum rolę ojca kreuje Jaracz z niezwykłą siłą przekonania polemizując ze swemi dziećmi i z godnością obnosząc swoją wewnętrzną rozterkę. W roli matki p. St. Perzanowska stworzyła typ znakomicie „wyczuty“.

Z innych postaci należy wymienić pp.: L. Pośpiełowskiego (jako znakomitego piłkarza), E. Kryńską jako wschodzącą „gwiazdą“ ekranu, J. Łuniewskiego jako reżysera filmowego, St. Daniłowicza jako bezrobotnego inżyniera. Do ogólnego poziomu gry nie dorasta p. Iza Faleńska w trudnej zresztą roli starszej córki prof. Junka. W epizodach wyróżnili się pp.: H. Kamińska i Bogucki.

J. J.

NOWE KSIĄŻKI.

Niemal równocześnie z otwarciem Wystawy w Paryżu pojawiła się w Polsce bardzo ciekawa książka p. t. „Paryż“ pióra wieloletniego korespondenta wydawnictw „I K. C.“ p. Zygmunta Frenkla. Autor, który w swej monografji, poświęconej nadsekwańskiej stolicy, nie po raz pierwszy składa dowody gruntownego znawstwa terenu swej dziennikarskiej pracy, postawił sobie za cel praktyczne obznajomienie podróżnych, wybierających się na Wystawę, ze wszystkiem, co tylko godne widzenia w „mieście tysiąca świateł“. Realizując swój interesujący zamiar, p. Frenkiel podzielił monografję na trzy części, z których pierwsza obejmuje zbiór doskonałych reportaży ze wszystkich dziedzin życia paryskiego, druga stanowi przejrzysty przewodnik dla tych, którzy pragną w 10 dniach zwiedzić stolicę Francji (tu zwracają uwagę cenne informacje i spis alfabetyczny wszystkich godnych widzenia objektów paryskich) — wkońcu trzecia część książki, to przewodnik po Wystawie. Wstęp do monografji p. Frenkla napisała znana działaczka na polu kulturalnego zbliżenia Polski i Francji, p. Rose Bailly. Oto jej interesujące uwagi na temat „Paryża“ Frenkla: — „Książka ta roi się od mnóstwa informacyj i może rywalizować z Przewodnikami „czerwonymi“ i „niebieskimi“. Lecz „Hachette“ i „Baedeckery“ dają swym informacjom formę telegraficzną, skrzepłą, martwą. Są to niejako i tylko odskocznie. Wyobraźni czytelnika pozostawiają one umiejętne posłużenie się tymi informacjami w skoku w rzeczywistość. Tę rzeczywistość czytelnik znajduje gorącą, bijącą pełnem tętnem życia w obrazach autora. Przewija się tu jednocześnie historja stolicy w swym majestacie wiekowym, jak i w naświetleniu mody dnia — w swym przemijającym uroku...“

J. L.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 1 sierpnia . 1937.

8.35 Pogadanka rolnicza.
8.45 Muzyka (płyty).
12.00 Z Poznania: „Wśród wichrów i burz“ — poranek muzyczny w wyk. Poznańskiej orkiestry symfonicznej.
13.00 „Życie kulturalne Krakowa“ p. t.: „Sprawy teatralne“ — Dyr. Wiśniowski.
14.00 „Chwila regjonalna“: „Zabierzowski honbarz“ — dialog regjonalny.
16.00 Z Katowic: Koncert rozrywkowy w wyk. Tria salonowego Rozgłośni Katowickiej.
17.00 Z Warszawy: Kameralny Teatr Wyobraźni: wznowienie komedji „Rozwód“. napisała Alicja Ramsay.
17.25 Pływackie zawody międzyrozgłośniowe — zbiorowa audycja sportowa.
18.00 Transmisja z Doliny Szwajcarskiej (z Warszawy): „Podwieczorek przy mikrofonie“ w wyk. Małej ork. PR. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego i solistów.
20.00 Ze skarbca pieśni — w wyk. Eli zum Busch (mezzosopran), Czesława Kozaka (baryton), przy fort. Wacław Geiger.
21.00 Ze Lwowa: „Pawilon piosenek“ — wesoła audycja.
22.00 Z Warszawy: Robert Schumann „Karnawał“ w wyk. Raula Koczalskiego (fortepjan).
23.00 Muzyka (płyty).

Poniedziałek. 2 sierpnia 1937.

13.55 Muzyka (płyty).
15.10 Feljeton: „Legenda o panu Stadnickim, djable łańcuckim“ — Wiesława Górockiego.
16.00 Z Warszawy: audycja dla dzieci: „W kresowym lesie“ — opowiadanie Jana Szczepkowskiego.
16.45 Z Warszawy: „Jan Potocki“ — feljeton Mieczysława Smolarskiego.
17.00 Z Warszawy: Koncert chóru Tow. „Estonia“ w Tallinie pod dyr. Vernera Narepa.
20.00 Z Warszawy: Koncert rozrywkowy. Wykonawcy: Mała or. PR.
21.45 Z Warszawy: „Kapral Szczapa“ — opowiadanie Karola Krzewskiego (cz. I.).
23.00 Z Warszawy II: „W czterdziestolecie zgonu Asnyka“ — szkic literacki Julji Wieleżyńskiej.
23.20 Z Warszawy II: Muzyka taneczna (płyty).

Wtorek, 3 sierpnia 1937.

12.25 Z Warszawy: Orkiestra reprez. Policji Państwowej.
16.00 Z Wilna: „Czem jest twój tatuś — budowniczym“ — audycja dla dzieci.
16.20 Ze Lwowa: Kwartet fortepjanowy L. v. Beethovena Es-dur op. 16.
18.15 Pieśni chóralne w wyk. krakowskiego Chóru Akademickiego pod dyr. Adama Kopycińskiego.
19.00 Z Poznania: „Król kiermaszu“, skecz Alfreda Chrzanowskiego.
20.00 Z Poznania: „Moda i zbytek“ — operetka komiczna Wład. Anczyca.
21.45 Z Warszawy: „Kapral Szczapa“ — opowiadanie Karola Krzewskiego (cz. II.).
22.00 Z Wilna: Koncert orkiestry wileńskiej pod dyr. Władysława Szczepańskiego.
23.00 Z Warszawy II: „Mój pierwszy występ gościnny“ — feljeton, wygł. Wincenty Rapacki.
23.15 Z Warszawy II: Muzyka taneczna z dancingu „Cafe-Club“.

Środa, 4 sierpnia 1937.

13.55 Muzyka (płyty).
16.00 Z Katowic: „O literackiej szychcie“ — szkic Gustawa Morcinka.
16.15 Ze Lwowa: Koncert solistów. Wykonawcy: Fryderyk Herman skrz.), Franciszek Bedlewicz (tenor), T. Seredyński (akomp.).
17.50 Ze Lwowa: „Każdy może być elektrotechnikiem w swoim domu“ — pogadankę . wygł. inż. Antoni Stachowicz.
19.00 Lekka muzyka kameralna (transmisja do Lwowa) w wykonaniu zespołu instrumentalnego Krak. Tow. Muzycznego.
20.00 Ze Lwowa „Czterech i piosenka“ — lekki koncert w oprac. Wiktora Budzyńskiego.
21.45 Z Warszawy: „Kapral Szczapa“ — opowiadanie Karola Krzewskiego (cz. III.).
23.00 Z Warszawy II: Nowe wiersze Leopolda Staffa — recytuje Zofja Małyniczówna.
23.15 Z Warszawy II: Muzyka taneczna (płyty).

Czwartek, 5 sierpnia 1937.

12.15 Audycja dla dzieci wiejskich w opr. Toli Rettingerowej.
13.55 Muzyka (płyty).
16.15 Muzyka Salonowa w wyk. Krakowskiego Kwartetu Rozgłośni.
17.10 Z Warszawy: Symfonje L. v. Beethovena (IV. audycja — (płyty).
19.00 Z Warszawy: Powszechny Teatr Wyobraźni: „Piosenka legjonowa na kwaterze“ — słuchowisko Zdzisława Marynowskiego.
20.00 Z Wilna: Koncert ork. wileńskiej pod dyr. Wład. Szczepańskiego.
21.15 Transmisja z ogniska harcerskiego na Międzynarodowym Złocie Skautów w Holandji.
21.45 Z Warszawy: „Karol Szczapa“ — opowiadanie Karola Krzewskiego (cz. IV.
22.00 Z Warszawy: Utwory fortepjanowe na 4 ręce i pieśni. Wykonawcy: Arkadjusz Bukin i Wład. Walentynowicz (fort.), oraz Ada Witowska - Kamińska (śpiew), prof. L. Urstein (akomp.).
23.00 Muzyka (płyty).

Piątek, 6 sierpnia 1937.

12.25 Z Poznania: Orkiestra wojskowa pod dyr. K. Chmielewicza.
12.55 Muzyka (płyty).
15.10 Audycja dla dzieci: a) skrzynka dla dzieci. b) „W słońcu i wodzie“.
16.00 Ze Lwowa: Rozmowa z chorymi ks. kapelana Michała Rękasa.
16.45 Z Torunia: „Polacy w srebrnym kraju“ — reportaż Jerzego Marlicza.
17.50 „O zatruciach mięsem“ — pogadankę wygł. dr. Bolesław Skarżyński (na wszystkie rozgłośnie).
20.00 Z Warszawy: „Raduje się serce. raduje się dusza“ — pieśni powstałe po wymarszu „Kadrówki“ — w wyk. Tad. Łuczaja i Czwórki Radjowej.
21.45 Z Warszawy: „Kapral Szczapa“ — opowiadanie Karola Krzewskiego (dokończenie).
23.15 Z Warszawy II: Muzyka taneczna z dancingu „Cafe-Club“ — w wyk. orkiestry Karasińskiego i Kataszka.

Sobota. 7 sierpnia 1937.

12.25 Z Wilna: Koncert ork. wileńskiej pod dyr. Wład. Szczepańskiego.
14.00 Koncert życzeń z płyt.
16.00 Z Poznania: „Poszedł Marek na jarmarek“ — wesoła audycja dla dzieci w opr. Jerzego Gerżabka.
16.30 Hiszpańskie melodje w wykonaniu orkiestry pod dyr. Adama Hermana.
17.50 Z Poznania: „Lasy nad Wartą i Wisłą“, pogadankę wygł. prof. Adam Wodziczko.
21.05 Z Warszawy: Muzyka taneczna w wyk. Małej orkiestry PR. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.
23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.